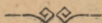


64

5916

43862

G. E. Lessing.



Minna von Barnhelm

czyli

dola żołnierska.

Komedia w 5 aktach.

Przełożył Jakób Salzmann.



Złoczów.

Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.



43.062

Wydane z dubletów
Bibl. Uniw. w Łodzi

Gotthold Efraim Lessing, urodzony 1729 r., zmarły 1781 r., jeden z najślawniejszych pisarzy niemieckich, napisał w Wrocławiu, komedię »Minna von Barnhelm« gdzie przebyw w czasie siedmioletniej wojny i poznał dokładnie stosunki nią wywołane. Potem udawszy się do Berlina dzieło ostatecznie wykończył i wydał 1767 r. Akcja sztuki rozgrywa się w Berlinie 1763 r., w jakiś czas po zawarciu pokoju hubertsburskiego, który zakończył wojnę siedmioletnią.

Redakcja »Biblioteki Powszechnej.«



D131/66

OSOBY.

MAJOR von TELLHEIM, dymisyonowany,
MINNA von BARNHELM.

HRABIA von BRUCHSALL, jej wuj,
FRANCISZKA, jej garderobiana.

JUST, służący majora.

PAWEŁ WERNER, były wachmistrz majora,
GOSPODARZ.

DAMA w żałobie.

KURYER królewski.

RICCAUT de la MARLINIERE.

Rzecz dzieje się jużto w sali gospody jużto
w przyległym pokoju.

Akt pierwszy.

SCENA I.

Just siedzi w kątku, drzemie i mówi przez sen. *To łajdak gospodarz! Ty, nas — Rażno, bracie! — Wal go, bracie! Robi ruch ręką, skutkiem czego się budzi. Cóż to, już znowu? Ledwie oko zmrużę, już się z nim biję. Gdybyżto on bodaj połowę tych cięgów nabrał! — — Ale patrzcie, tożto już dzień! Muszę jak najszybciej poszukać mojego biednego pana. Za moją zgodą noga nie przestąpi progu tego przekłętego domu. Gdzie też on mógł noc przepędzić?*

SCENA II.

Just, Gospodarz.

Gospodarz. Dzień dobry, panie *Just*, dzień dobry! Ej, już tak wcześnie na nogach? Czy raczej mam powiedzieć: jeszcze tak późno na nogach?

Just. Niech on mówi, co chce.

Gospodarz. Mówię tylko dzień dobry; a to, zdaje się, zasługuje, by pan *Just* odpowiedział: dziękuję?

Just. Dziękuję!

Gospodarz. Brak należytego wypoczynku psuje

humor. Cóż tam, pan major nie przyszedł do domu, a on tu nań czatował?

Just. Czego ten człowiek nie potrafi odgadnąć!

Gospodarz. Przypuszczam tylko, przypuszczam.

Just odwraca się i chce odejść. Jego sługa!

Gospodarz zatrzymuje go. Ależ nie, panie Just!

Just. Dobrze, więc nie jego sługa!

Gospodarz. Ej, panie Just! Nie sądź, panie Just, że on od wczoraj jeszcze się gniewa? Któżby przez noc gniew zachował?

Just. Ja; i to także przez wszystkie następne nocy.

Gospodarz. Czy to po chrześcijańsku?

Just. Równie po chrześcijańsku, jak uczciwego męża, który nie może natychmiast zapłacić, z domu wypędzić, wyrzucić na ulicę.

Gospodarz. Fe, któżby mógł być tak bezbożnym?

Just. Chrześcijański gospodarz. — Mojego pana! takiego męża! takiego oficera!

Gospodarz. Jego ja miałem z domu wypędzić, wyrzucić na ulicę? Mam nadto uszanowania dla oficera a nadto litości nad odstawnym, by to uczynić! Z konieczności musiałem mu dać inny pokój. — Niechże on już o tem nie myśli, panie Just. Woła w głąb sceny. Hola! W inny sposób to naprawię. Nadchodzi chłopak. Przynieś kieliszek; pan Just pragnie czegoś dobrego!

Just. Niechaj on sobie trudu nie zadaje, panie

gospodarzu. Oby się ta kropla przemieniła w truczynę, którą... Lecz nie chcę się zaklinać; jestem jeszcze na czczo.

Gospodarz do chłopaka, który przynosi flaszkę likieru i kieliszek. Daj tu; idź! — No, panie Just, coś przepysznego; mocne, miłe i zdrowe. Nalewa i podaje mu. To orzeźwi po nieprzespanej nocy, doskonale na żołądek!

Just. Właściwie nie powinienem! — — Lecz dlaczegoż moje zdrowie ma cierpieć z powodu jego grubiaństwa? Bierze i pije.

Gospodarz. Na zdrowie, panie Just!

Just oddając kieliszek. Nie złe! Aie, panie gospodarzu, on przecież jest grubianin!

Gospodarz. Wolne żarty, wolne żarty! Prędko jeszcze jeden; trudno stać na jednej nodze.

Just wypiwszy. Muszę przyznać, dobre, bardzo dobre! Sam przyrzadził, panie gospodarzu? —

Gospodarz. Broń Boże! Prawdziwa żytniówka wyrabiana w Gdańsku „pod Łososiem.“

Just. Widzi on, panie gospodarzu, gdybym był pochlebcą, pochlebiałbym za coś takiego; ale ja nie taki; u mnie, co na myśli, to na języku — on przecież jest grubianin, panie gospodarzu!

Gospodarz. Odkąd żyję, od nikogo jeszcze tego nie słyszałem. — Jeszcze jeden, panie Just; w Trójcy Bóg przebywa.

Just. Cóż robić! Pije. Dobre, prawdziwie dobre! Ale i prawda jest dobra. — Panie gospodarzu, on przecież jest grubianin!

Gospodarz. Czy słuchałbym obojętnie, gdybym nim był rzeczywiście?

Just. Czemużby nie? Grublanie są zwykle bez żółci.

Gospodarz. Może jeszcze, panie Just? „Piją ludzie kwarty, trzeba wypić czwarty“, jak powiadają.

Just. Nie, co nadto, to nadto! Cóż mu to wreszcie pomoże, panie gospodarzu? Aż do ostatniej kropelki, jaka jeszcze zostanie we flasce, pozostanę przy swoim. Fe, panie gospodarzu, któż widział, żeby mieć tak dobrą wódeczkę a tak lichę obejście! Żeby takiemu panu, jak mój pan, który u niego tak długo mieszkał, od którego on już niejednego pięknego talarka zabrał, który w swoim życiu złamanego szeląga nikomu nie został dłużnym; takiemu panu, dlatego że od kilku miesięcy tak szybko nie płaci, dlatego, że już tyle nie wydaje, — pod jego nieobecność pokój wyprzątnąć!

Gospodarz. Ki dyż ten pokój mi był konieczny! A gdy ja z góry wiedziałem, że pan major sam dobrowolnie byłby ustąpił, gdybyśmy byli mogli czekać jego powrotu. Czyż miałem na to pozwolić, by takie obce państwo z przed moich drzwi odjechało? Czyż miałem nieopatrzenie innemu gospodarzowi taki zysk w paszczę pakować? — Nie wiem też, czy byliby gdzie znaleźli mieszkanie. Wszystkie gospody teraz

przepelnione. Miałaby tak młoda, piękna, miła dama na ulicy zostać? Jego pan zbyt grzeczny, by na to zezwolić! Cóż zresztą na tem traci? Czyż mu w zamian nie oddałem innego pokoju?

Just. Z tyłu, obok gołębnika; widok między murami sąsiada a —

Gospodarz. Widok był nadzwyczaj piękny, nim ten nieznosny sąsiad go zabudował. Pokój jest jednak bardzo elegancki i tapetowany —

Just. Był ongi!

Gospodarz. Ależ jedna ściana i teraz jeszcze tapetowana. A jego izdebka obok, panie Just; czegoż tam brak? Jest tam piec, który wprowadzie w zimie trochę dymu —

Just. Ale w lecie nieźle wygląda. Panie, jak widzę, kpi on sobie z nas w dodatku.

Gospodarz. No, no, panie Just, panie Just —

Just. Niechże on panu Justowi głowy nie suszy, bo —

Gospodarz. Ja? To gdańska wódka robi! —

Just. Takiego oficera, jak mój pan! Czy też on może sądzi, że odstawny oficer nie jest także oficerem, który mu może łeb ukręcić? Dlaczegoż byliście panowie gospodarze podczas wojny tak potulni? Dlaczegoż wtedy każdy oficer był zacnym mężem, a każdy żołnierz pocziwą duszą? Czyż to trochę pokoju już was tak rozzuchwaliło?

Gospodarz. Czegoż on się tak unosi, panie Just?

Just. Bo się unosić chce!

SCENA III.

v. Tellheim, Gospodarz, Just.

v. Tellheim wchodząc. Just!*Just* sądząc że gospodarz go tak woła. Just? —
Już my tak znajomi ze sobą? —*v. Tellheim.* Just!*Just.* Myślę, że dla niego mam być panem Justem!*Gospodarz* który spostrzega majora. Pst! Pst!
panie, panie Just — niechże on się oglądnie;
jego pan — —*v. Tellheim.* Just, zdaje mi się, że się kłócisz? Co ci rozkazałem?*Gospodarz.* O, panie dobrodzieju! Któż się kłóci? Broń Boże! Czyż pański najuniżeńszy sługa odważyłby się kłócić z kimś, który ma to szczęście, że doń należy?*Just.* Gdybyżto ja mu mógł grzbiet wygarbować!*Gospodarz.* Prawda, że pan Just przemawia za swoim panem i to trochę za gorąco. Słusznie postępuje; tem wyżej go cenię, lubię go dlatego.*Just.* Żebym mu tylko zębów nie porachował!*Gospodarz.* Szkoda tylko, że się zbytecznie unosi. Jestem bowiem stanowczo przekonany, że pan dobrodziej nie przestał być na mnie łaskawym, ponieważ konieczność — t. j. będąc zniewolonym —

v. Tellheim. Dosyć, dosyć, mój panie! Jestem panu dłużny; pan pod moją nieobecność wyprzątał mój pokój; pan musi otrzymać zapłatę; ja muszę się dokądindziej sprowadzić. To całkiem naturalne!

Gospodarz. Dokądindziej? Łaskawy pan chce się wyprowadzić? Ja nieszczęsny! O, ja zrujnowany człowiek! Nigdy, przenigdy! Raczej ta dama ustąpi z kwatery. Rozumie się; pan major nie może, nie chce jej oddać swego pokoju; pokój do niego należy; ona musi iść precz; nie mogę jej pomódz.

v. Tellheim. Przyjacielu, nie strzelajże jednego głupstwa po drugim. Ta dama musi pozostać w posiadaniu pokoju —

Gospodarz. Pan dobrodziej miałby przypuszczać, że ja niedowierzałem, że się obawiałem —? Czyż nie wiem, że pan dobrodziej może mi nawet natychmiast zapłacić, jeśli zechce? — — Opieczętowany woreczek, — pięćset talarów w luidorach tam napisano, — który pan dobrodziej miał w biurku, jest dobrze przechowany.

v. Tellheim. Spodziewam się; jak i inne moje rzeczy. Just je odbierze, gdy panu zapłaci rachunek.

Gospodarz. Zaprawdę, zląkłem się, gdym ujrział ten woreczek. Miałem pana dobrodzieja zawsze za rządneho i przezornego męża, który się nigdy ze wszystkim nie wydaje. — Jednak — gdybym był przeczuwał, że w biurku jest gotówka —

v. Tellheim. Byłbyś się pan grzeczniej ze mną obszedł; zostaw mię pan; chcę pomówić ze swoim służącym.

Gospodarz. Ależ, panie dobrodzieju —

v. Tellheim. Chodź, Just, ten pan nie chce pozwolić, bym ci w jego domu powiedział, co masz robić.

Gospodarz. Idę już, idę, wielmożny panie! Cały mój dom do usług pana dobrodzieja.

SCENA IV.

v. Tellheim, Just.

Just pluje i tupie nogą za gospodarzem. *Pfe!*

v. Tellheim. Cóż tam?

Just. Duszę się ze złości.

v. Tellheim. Raczej z napływu krwi.

Just. A pan, — pana już poznać nie mogę. Łeb sobie dam urwać, jeśli pan nie jest aniołem-stróżem tego złośliwego, Nielitościwego hycła! Bez względu na szubienicę, miecz i koło byłbym go — byłbym go miał chęć udusić temi rękoma, rozdrzeć tymi zębami.

v. Tellheim. Bestyo!

Just. Wolę być bestyą, niż takim człowiekiem.

v. Tellheim. Czegoż ty właściwie chcesz?

Just. Chcę, abyś pan odczuł, jak pana znieważają.

v. Tellheim. A potem?

Just. Byś się pan zemścił. — Nie, ten drab jest dla pana za niski.

v. Tellheim. Lecz, bym tobie zemstę poruczył? Od razu nad tem myślałem. On mnie nie był powinien więcej widzieć; swój dług z twoich rąk powinien odebrać. Wiem, że umiesz pogardliwie rzucić garść pieniędzy.

Just. Tak? Wyborna zemsta! —

v. Tellheim. Z którą jednak jeszcze musimy zaczekać. Nie mam ani szeląga gotówki! Nie wiem też, gdzie ją wziąć!

Just. Niema gotówki? A cóż to za woreczek, zawierający pięćset talarów w luidorach, który gospodarz widział w biurku?

v. Tellheim. To są pieniądze, oddane mi w przechowanie.

Just. Wszak nie te sto pistolów, które panu przed czterema lub pięciu tygodniami przyniósł dawny pański wachmistrz?

v. Tellheim. Tak jest, Pawła Wenera. Czemużby nie?

Just. Tych pan jeszcze nie użył? Proszę pana, z temi może pan uczynić, co się panu podoba. Na moją odpowiedzialność.

v. Tellheim. Istotnie?

Just. Werner słyszał odemnie, jak się wlecze sprawa pańskiej należytości w generalnej kasie wojennej. Słyszał —

v. Tellheim. Że pewnie zejde na żebraka, jeśli już nim nie jestem. Jestem ci za to bard.

wdzięczny, Just. — A ta wiadomość sprawiła, że Werner dzieli ze mną swój ubogi grosz. Ciesz się, że to odgadłem. — Słuchaj, Just, zrób równocześnie i swój rachunek; rozstajemy się. — —

Just. Jak? Co?

v. Tellheim. Ani słowa więcej; ktoś nadchodzi.

SCENA V.

Dama w żałobie, *v. Tellheim*, Just.

Dama. Mocno pana przepraszam!

v. Tellheim. Kogo pani szuka?

Dama. Właśnie tego szlachetnego męża, z którym mam zaszczyt mówić. Nie poznaje mnie pan już? Jestem wdową po pańskim dawnym rotmistrzu sztabowym! —

v. Tellheim. Na Boga, łaskawa pani!.. Co za zmiana! —

Dama. Wstaję dopiero z łoża choroby, na które mię zwała boleść po utracie męża. W tak rannej porze muszę się już panu naprzykrzać, panie majorze. Jadę bowiem na wieś, gdzie mi serdeczna, ale równie jak ja nieszczęśliwa przyjaciółka ofiarowała tymczasowe schronienie.

v. Tellheim do Justa. Idź, zostaw nas samych.

SCENA VI.

Dama, *v. Tellheim*.

v. Tellheim. Proszę mówić swobodnie, łaskawa pani! Wobec mnie proszę się swego nieszczęścia nie wstydić. Jeśli pani tylko mogę pomódz —

Dama. Mój panie majorze —

v. Tellheim. Żal mi pani. Czem mogę pani służyć? Pani wie, małżonek pani był moim przyjacielem; moim przyjacielem, powiadam; mianem tem nigdy zbytnio nie szafuję.

Dama. Któż wie lepiej odemnie, jak godnym pan był jego przyjaźni a on pańskiej. Byłbyś pan był jego ostatnią myślą, imię pańskie byłoby ostatniem słowem, które usta jego wymówiły, gdyby silniejsza nadewszystko natura nie była zażądała smutnego prawa pierwszeństwa dla nieszczęśliwego syna, dla nieszczęśliwej żony konającego —

v. Tellheim. Przestań, moja pani! Płakałbym chętnie wraz z panią, lecz brak mi dziś łez. Oszczędź mię pani! Zastała mię pani w godzinie, w której gotówbym szemrać przeciw opatrności. — O mój uczciwy Marloffie! Proszę, łaskawa pani, co pani rozkaże? Jeśli tylko zdołam pani usłużyć, jeśli ja —

Dama. Nie śmiem odjechać przed wykonaniem ostatniej woli męża. Krótco przed swym zgonem przypomniał sobie, że umiera jako pański dłużnik; zaklinał mię, bym dług ten z pierwszej gotówki, jaką mieć będę, uiściła. Sprzedałam jego uzbrojenie, a obecnie przychodzę celem wykupna jego skryptu.

v. Tellheim. Jaktó, łaskawa pani, dlatego pani przychodzi?

Dama. Tak jest. Pozwól pan, bym pieniądze wyliczyła,

v. *Tellheim*. Ależ nie, moja pani! Marloff mnie dłużnym był? To nieprawdopodobne. Zobaczę zresztą. Wyciąga notatkę i szuka. Niema nic.

Dama. Skrypt musiał się gdzieś podziać, a skrypt zresztą nic nie stanowi. Pozwól pan —

v. *Tellheim*. Nie, moja pani! takich rzeczy się nie gubi. Jeśli pisma tego nie mam, to znaczy, że nigdy go nie miałem lub, że zostało umorzone i przezemnie zwrócone.

Dama. Panie majorze!

v. *Tellheim*. Z wszelką pewnością, łaskawa pani. Marloff nie mi nie pozostał dłużnym. Nie mogę też sobie przypomnieć, czy on wogóle był kiedy moim dłużnikiem. Nie inaczej, moja pani; przeciwnie, ja pozostałem jego dłużnikiem. Nigdy nie nie mogłem uczynić, czem byłbym się mógł uiścić mężowi, który dzielił ze mną sześć lat doli i niedoli, zaszczytów i niebezpieczeństw. Nigdy nie zapomnę, że zostawił syna. Będzie on moim synem, skoro tylko będę w stanie zastąpić mu ojca. Kłopoty, które obecnie —

Dama. Szlachetny mężu! Nie sądził pan o mnie tak źle. Przyjm pan pieniądze, panie majorze; będę przynajmniej spokojną.

v. *Tellheim*. Czegoż pani więcej potrzeba dla własnego spokoju, jak mojego zapewnienia, że te pieniądze do mnie nie należą. Ja miałbym okraść nieletnią sierotę po moim przyjacielu? Okraść, moja pani; temby to bowiem było w rzeczywi-

stem tego słowa znaczeniu. Jego własnością są te pieniądze, dlań też proszę je gdzieś złożyć.

Dama. Rozumiem już; proszę mi wybaczyć, jeśli jeszcze nie umiem należycie przyjmować dobrodziejstw. Skąd pan jednak wie, że matka dla syna swego więcej czyni, niżby uczyniła dla ocalenia własnego życia. Odchodzę —

v. Tellheim. Idź pani, idź pani! Jedź pani szczęśliwie. Nie proszę, byś mi pani kiedy coś doniosła o sobie; wiadomość mogłaby przyjść w czasie, kiedybym nie mógł z niej korzystać. Ale jeszcze jedno, łaskawa pani; byłbym o najważniejszym zapomniał. Marloff ma jeszcze należność w kasie naszego dawnego pułku. Jego pretensye są tak słuszne, jak i moje. Jeśli moje zostaną zapłacone, muszą i jego być zapłacone. Ja ręczę za to. —

Dama. O, mój panie — wolę jednak milczeć. — Kto przyszłe dobrodziejstwa tak przygotowuje, wobec nieba już je wyświadczył. Oby ono i łzy moje pana nagrodziły! Odchodzi.

SCENA VII.

v. Tellheim. Biedna, uczciwa kobieta! — Żebym tylko nie zapomniał zniszczyć tej drobnostki. Wyjmuje z notatki paplery, drze je. Któż mi za to zaręczy, że własny niedostatek nie może mnie kiedyś zniewolić, bym z tego korzystał?

SCENA VIII.

Just, v. Tellheim.

v. Tellheim. Jesteś?*Just* osierając sobie oczy. Tak!*v. Tellheim.* Płakałeś?*Just.* Pisałem swój rachunek w kuchni, a tam pełno dymu. Oto jest, mój panie.*v. Tellheim.* Daj!*Just.* Proszę mieć litość nademną. Wiem wprawdzie, że ludzie jej nad panem nie mają; ale —*v. Tellheim.* Czego chcesz?*Just.* Raczej śmierci byłbym się spodziewał, niż odprawy.*v. Tellheim.* Nie mogę ciebie nadal zatrzymać; czas, bym się nauczył obchodzić bez służącego. Otwiera rachunek i czyta. „Co pan major mnie winien jest: Za trzy i pół miesiąca usługi, miesięcznie po sześć talarów, czyni 21 talarów. Od pierwszego bieżącego miesiąca zaliczyłem na drobne wydatki 1 talara 7 gr. 9 f. Razem 22 tal. 7 gr. 9 fen.“ Dobrze, a słuszość wymaga, bym ci i za bieżący miesiąc całkowicie zapłacił.*Just.* Na odwrotnej stronie, panie majorze —*v. Tellheim.* Jeszcze więcej? Czyta. „Co ja jestem winien panu majorowi: Felczrowi zapłacił za mnie 25 talarów. Za dozór i pielęgnowanie w czasie mojego leczenia zapłacił za mnie 39 talarów. Mojemu ojcu, którego dobytek zra-

bowano i spalono, na moją prośbę pożyczył — nie licząc dwu koni zdobycznych, które mu darował — 50 talarów. Razem 114 talarów. Od tego odliczyć powyższe 22 tal. 7 gr. 9 fen. Pozostaje panu majorowi dłużny 91 tal. 16 gr. 3 fen.“ — Chłopcze, oszalałeś! —

Just. Przekonany jestem, że pana więcej kosztuję. Szkoda jednak atramentu na spisanie wszystkiego. Nie mogę panu zapłacić, a jeśli pan odemnie w dodatku liberyę odbierze, na którą jeszcze nie zarobiłem, — to wolałbym, żeby mi pan był dał skonać w lazarecie.

v. Tellheim. Za kogoż ty mnie masz? Nic mi nie jesteś winien; polecę ci jednemu z moich znajomych, u którego ci będzie lepiej niż u mnie.

Just. Nic panu nie jestem winien, a jednak pan mię odprawia?

v. Tellheim. Ponieważ ci nie nie chcę zostać dłużnym.

Just. Dlatego? Tylko dlatego? Jak pewna, że ja panu jestem dłużny, jak pewna, że pan mi nie nie może zostać dłużnym, tak pewna, że pan mnie nie powinien oddalić. Rób pan, co się panu podoba, panie majorze, zostaję u pana; muszę u pana zostać.

v. Tellheim. A twoja zaciętość, twój upór, twoje dzikie, porywcze usposobienie względem wszystkich, którzy ci według twego zdania nie

nie śmiać powiedzieć, twoja chytra radość z cudzej szkody, twoja mściwość — —

Just. Nazwij mię pan jak najgorszym, ja jednak nie chcę o sobie gorzej myśleć, niż o swoim psie. Zeszłej zimy szedłem o zmierzchu nad kanałem i usłyszałem skomlenie. Zstąpiłem na dół i wyciągnąłem ręce w stronę, skąd głos dochodził; sądziłem, że uratuję dziecko, a wyciągnąłem pudła z wody. I to dobre, myślę sobie. Pudel poszedł za mną, ja jednak nie lubię pudłów. Odpędziłem go, daremnie; okładałem go kijem, daremnie. Nocą nie puściłem go do mojej izby; został na progu przy drzwiach. Skoro się do mnie zbliżył, kopnąłem go; wył, popatrzył na mnie i łasił się. Jeszcze kawałka chleba nie dostał z mej ręki, a mimoto ja jestem jedynym, którego słucha i który się go śmie dotknąć. Skacze przedemną i bez rozkazu pokazuje swoje sztuki. Jestto obrzydliwy pudel, ale bardzo dobry pies. Jeśli dalej takim będzie, pojednam się z nim wreszcie.

v. Tellheim na stronie. Jak ja z nim! Nie, w każdym tkwi przecież kawał człowieka! — —
Just. zostajemy ze sobą.

Just. Ma się rozumieć! Chciał się pan obywać bez służącego? Zapomniał pan o swoich bliznach i o tem, że pan tylko jedną ręką włada. Nie może się pan przecież sam ubrać. Jestem dla pana niezbędny i jestem — nie chwając się, panie majorze — i jestem służącym, który — w razie potrzeby gotów jest dla swego pana żebrać i kraść.

v. Tellheim. Just, nie zostajemy ze sobą.

Just. Dobrze już, dobrze.

SCENA IX.

Slużący, *v. Tellheim*, *Just*.

Slużący. Pst! kolego!

Just. Co tam?

Slużący. Czy nie mógłby mi on wskazać oficera, który wczoraj jeszcze w tym pokoju wskazuje w stronę, skąd przyszedł mieszkał?

Just. Nic łatwiejszego. Za czem on doń przychodzi?

Slużący. Jak zwykle, gdy z niczem przychodzimy, z komplementem. Moje państwo dowiaduje się, że on przez nie został wyrugowany. Moje państwo zna się na grzeczności i dlatego mam go przeprosić.

Just. No, niechże przeprasza, oto stoi.

Slużący. Czem jest? Jak go nazwać?

v. Tellheim. Mój przyjacielu, wasze polecenie już słyszałem. Jestto ze strony waszego państwa zbyt uczynna grzeczność, którą cenię, jak należy. Wyrażcie państwu moje uszanowanie. — Jak się wasze państwo nazywa? —

Slużący. Jak się nazywa? Nazywa się jaśnie wielmożna panienska.

v. Tellheim. A jej imię rodowe?

Slużący. Tego jeszcze nie słyszałem, a pytać o nie, nie do mnie należy. Urządza się w ten

sposób, że prawie co sześć tygodni mam nowe państwo. Niech tam kał zna ich nazwiska.

Just. Brawo, kolego!

Służący. Do tej przyszedłem dopiero przed kilku dniami w Dreźnie. O ile mi się zdaje, szuka ona tutaj za swoim narzeczonym.

v. Tellheim. Dosyć, mój przyjacielu. Chciałem tylko znać nazwisko waszego państwa, nie zaś ich tajemnice. Idźcie!

Służący. Kolego, to nie byłby pan dla mnie!

SCENA X.

v. Tellheim, Just.

v. Tellheim. Prędko, Just, opuścimy ten dom. Uprzejmość tej obcej damy jest dla mnie bardziej nieprzyjemną, niż gburowatość gospodarza. Weź ten pierścień, ostatni klejnot, który mi pozostał, o którym nigdy nie myślałem, że go na to użyję! — Zastaw go, każ sobie nań dać ośmdziesiąt pistolów; rachunek gospodarza nie wyniesie i trzydziestu. Zapłać mu i zabierz moje rzeczy. — Tak, ale dokąd? — Dokąd chcesz. Najtańsza gospoda będzie najlepszą. Zastaniesz mię w kawiarni opodał. Idę; spraw się dobrze.

Just. O to niema obawy, panie majorze! —

v. Tellheim wraca. Przedewszystkiem nie zapomnieć moich pistoletów, które wisiały nad óżkiem.

Just. Nie zapomnę.

v. *Tellheim* jeszcze raz wraca. Jeszcze jedno; weź także swego pudła ze sobą; słyszysz, Just! —

SCENA XI.

Just sam.

Pudel nie zostanie. To już pudła sprawa. Hm! i ten kosztowny pierścień pan jeszcze miał? I nosił go w kieszeni zamiast na palcu? — Dobry gospodarzu, nie jesteście tak goli, jak wyglądamy. U niego, u niego samego cię zastawię, śliczny pierścionku! Wiem, zmartwi się biedaczysko, że ciebie całego w jego domu nie przejemy! — Ah —

SCENA XII.

Just, Werner.

Just. Patrzcie, Werner! dzień dobry, Werner! witaj w mieście!

Werner. Przekłeta wieś! Nie mogę do niej na nowo przywyknąć. Wesóło, dzieci, wesóło; przynoszę świeże pieniądze! Gdzie major?

Just. Musieliście się minąć, dopiero co zeszeliście ze schodów.

Werner. Przyszedłem tylnymi schodami. No, jak mu się powodzi? Byłbym jeszcze zeszłego tygodnia u was, ale —

Just. No? cóż cię wstrzymało?

Werner. Just — czy słyszałeś co o księciu Herakliusz?

Just. O Herakliusz? nic nie wiem.

Werner. Nie znasz wielkiego bohatera ze Wschodu?

Just. Mędrców wschodnich znam; tych, co około Nowego Roku od wsi do wsi z gwiazdą —

Werner. Człowiecze, jak widzę, tak samo nie czytasz gazet, jak i biblij? Nie znasz księcia Herakliusza, dzielnego męża nie znasz, który Persyę zdobył i tymi dniami zburzy ottomańską Portę?! Chwała Bogu, że przecież gdzieś na świecie wojują! Długo się łudziłem nadzieją, że i tu znów się ruszą. Ale oni siedzą i z ran się wylizują. Nie, żołnierzem byłem, żołnierzem znów być muszę. Koniec końcem — oglądając się, czy kto nie podsłuchuje pod sekretem, *Just*, idę do Persyi, aby odbyć kilka wypraw przeciw Turkom pod jego królewską mością.

Just. Ty?

Werner. Ja, jak mię tu widzisz. Nasi przodkowie chadzali przeciw Turkom, tożsamo i my czynić powinniśmy, jeśli jesteśmy uczciwi żołnierze i dobrzy chrześcijanie. Pojmuję też doskonale, że wyprawa przeciw Turkom ani w części nie może być tak wesołą, jak nasza przeciw Francuzom; dlatego też musi ona być tem korzystniejszą na tym i na tamtym świecie. U Turków to ci wszystkie szable dyamentami wysadzane. —

Just. Nie ruszyłbym się ani na milę, aby sobie dać głowę szablą rozplatać. Wszak nie

oszalejesz i nie zostawisz swej pięknej wioski i sołtysostwa?

Werner. O, wszystko biorę ze sobą! — Nie domyślasz się? — Wioska sprzedana. — —

Just. Sprzedana?

Werner. Pst! — tu mam sto dukatów, które wczoraj wziąłem tytułem zadatku; przynoszę je majorowi. —

Just. Cóż on z tem ma uczynić?

Werner. Co on z tem ma uczynić? Zjeść, przegrać, przepić — co mu się podoba. Ten człowiek musi mieć pieniądze, a to bardzo smutno, że mu jego własność piółunem zaprawiają. Ale ja na jego miejscu wiedziałbym już co zrobić! Pomyślałbym sobie: „Niech was tu wszystkich dyabli biorą“ i poszedłbym z Pawłem Wernerem do Persyi! — Do kata! — musiał przecież książę Herakliusz słyszeć o majorze Tellheimie, chociaż jego byłego wachmistrza nie zna. Nasza przygoda pod Katzenbergiem —

Just. Opowiedzieć ci ją?

Werner. Ty mnie? Rozumiem, że ładna dyspozycja nie dla twojej głowy. Nie będę zresztą świniom rzucał pereł. Weź te sto dukatów, daj je majorowi. Powiedz mu niech mi i te przechowa. Śpieszę na targ, posłałem dwa wory żyta; co utarguję, także mu dać mogę.

Just. Werner, ty szczerzy chłop, ale my twoich pieniędzy nie potrzebujemy. Schowaj swoje

dukaty, twoje sto pistolów także możesz nienaruszone odebrać, kiedy tylko zechcesz.

Werner. Tak? Więc major ma pieniądze?

Just. Nie.

Werner. Czy gdzie pożyczył?

Just. Nie.

Werner. Z czegoż więc żyjecie?

Just. Każemy zapisywać, a gdy już więcej nie chcą zapisać i z domu nas wyrzucają, zastawiamy, co jeszcze pozostało, i wyprowadzamy się. — Słuchajno, Paweł! temu gospodarzowi musimy dać nauczkę.

Werner. Czy on majorowi dokuczył? Zgadzam się!

Just. Coby to było, gdybyśmy tak wieczorem, gdy wraca z szynkowni, na niego czatowali i go przetrzepali tego? —

Werner. Wieczorem? czatować? dwóch na jednego? Nic z tego!

Just. Albo, gdybyśmy mu tak jego budę z dymem puścili?

Werner. Osmalić, podpalić? Chłopie, poznać, że byłeś luzakiem a nie żołnierzem; — pfe! Ale co z tobą się dzieje? Co się stało?

Just. Chodź, zdziwisz się!

Werner. Czy go dyabeł opętał?

Just. Tak jest, chodź jeno!

Werner. Tem lepiej! Do Persyi więc, do Persyi!

Akt drugi

SCENA I.

Rzecz dzieje się w pokoju panny.

Minna v. Barnhelm, Franciszka.

Panna w negliżu, patrząc na zegarek. Franiu, za wcześnie wstałyśmy. Będziemy się nudzić.

Franciszka. Któż może spać w tych nieznośnych dużych miastach? Karety, stróże nocni, bębny, koty, kaprale — wszystko to wciąż turkoczy, wrzeszczy, dudni, miauczy i klnie; jak-gdyby noc była na wszystko, tylko nie na spoczynek. Może filiżankę herbaty, panienko?

Panna. Herbata mi nie smakuje.

Franciszka. Każę zrobić czekoladę.

Panna. Dla mnie nie, dla siebie!

Franciszka. Mam sama pić? Trudno mi samej pić, jakby mi trudno było samej ze sobą gawędzić. — Prawda, że się będziemy nudziły. — Z nudów też będziemy się musiały wystroić i sukienkę ubrać, w której mamy przypuścić pierwszy szturm.

Panna. Co mówisz o szturmach; wszak tu tylko przyjechałam z żądaniem dotrzymania warunków kapitulacyi.

Franciszka. A ten pan oficer, którego pokój

zamieszkujemy i któremu się kazałyśmy kłaniać; ten widać nie zna form towarzyskich, inaczej byłby prosił o zaszczyt złożenia nam swego uszanowania.

Panna. Nie każdy oficer jest Tellheimem. Prawdę mówiąc, dlatego tylko kazałam mu się kłaniać, aby mieć sposobność zasiągnięcia wiadomości o tym. Franiu, sercem przeczuwam, że podróż moja będzie szczęśliwa, że go znajdę. —

Franciszka. Sercem, łaskawa panienko? Sercu nie należy jednak zbyt ufać. Serce zbyt chętnie ust słucho. Gdyby usta równie były skłonne do mowy za sercem, byłaby już dawno nastała moda zamykania ust na kłódkę.

Panna. Ha! Ha! Usta na kłódkę! Ta moda byłaby mi właśnie na rękę.

Franciszka. Raczej już wcale ślicznych ząbków nie pokazywać, niż dać sercu wyskoczyć!

Panna. Co? A tyś taka małowowna? —

Franciszka. Nie, panienko, ale chciałabym nią być. Rzadko kiedy mówi się o cnocie, którąby się samemu chlubić można; częściej za to o zaletach, których nam niedostaje.

Panna. Widzisz, Franiu, zrobiłaś doskonałe postrzeżenie —

Franciszka. Zrobiłam? Czyż można zrobić coś, co samo na myśl przychodzi?

Panna. Czy wiesz, dlaczego mi się właściwie twoje postrzeżenie tak podoba? Da się łatwo zastosować do mojego Tellheima.

Franciszka. Co, według pani, do niego się nie stosuje?

Panna. Tak przyjaciele jak i nieprzyjaciele jego mają go za najdzielniejszego męża na świecie. Czy słyszał kto jednak, by on kiedy mówił o waleczności? Ma on najszlachetniejsze serce, ale uczciwość i szlachetność są to słowa, których nigdy nie wspomina.

Franciszka. A o jakich zaletach on mówi?

Panna. O żadnych, bo żadnej mu nie brak.

Franciszka. Oto, co chciałam usłyszeć.

Panna. Czekał, Franiu, przypominam już sobie. Mówi on często o oszczędności. Między nami mówiąc, Franiu, zdaje mi się, że ten człowiek jest rozrzutny.

Franciszka. Jeszcze jedno, panienko. Słyszałam też często, jak mówił o swej wierności i stałości ku pani. Może ten pan jest też bałamutem.

Panna. Nieszczęsna! — Ale, czy seryo tak myślisz, Franiu?

Franciszka. Odkąd już pani nie pisał?

Panna. Ach, od zawarcia pokoju ani razu mi nie pisał.

Franciszka. Jeszcze jedno westchnienie przeciw pokojowi! To dziwne! Pokój miał tylko naprawić złe, które wyrządziła wojna a niszczy też i dobre, które ona, jego współzawodnica wyświadczyła. Pokój nie powinien być tak kapryśny! — A jak długo mamy już pokój? Czas wydaje się

tak długim, gdy tak mało nowinek. Daremnie poczty regularnie kursują, nikt nie pisze, bo nie ma o czem.

Panna. Mamy pokój — pisał mi — i zbliżam się do urzeczywistnienia swoich marzeń. Ale że też mi o to tylko raz, jeden, jedyny raz napisał. —

Franciszka. I nas zmusza, byśmy spieszyły na spotkanie urzeczywistnienia marzeń; znajdziemy go jeno, a już my mu wet za wet oddamy. — Gdyby jednak ten człowiek był już tymczasem swe marzenia urzeczywistnił i gdybyśmy się tu dowiedziały —

Panna trwożliwie i porywczo. Że on umarł?

Franciszka. Dla pani, łaskawa panienko; w objęciach innej.

Panna. Dręczycielko! Czekaj, Franciszko, już on ci to zapamięta! — Lecz gawędźmy dalej; inaczej uśniemy. — Jego pułk po zawarciu pokoju zniesiono. Kto wie, jakie on stąd ma kłopoty, rachunki, dowody. Kto wie, do jakiego innego pułku, w jak odległą prowincję go przeniesiono? Kto wie, jakie okoliczności — ktoś puka.

Franciszka. Proszę!

SCENA II.

Gospodarz. poprzednie.

Gospodarz wysuwając głowę. Czy wolno, moje łaskawe państwo? —

Franciszka. Nasz pan gospodarz? — Proszę, proszę bardzo.

Gospodarz z piórem za uchem, w ręce ma papier i przybory do pisania. Przychodzę, by powiedzieć najuniżeńsze „Dzień dobry“ jaśnie pani do Franciszki i jej, lubie dziecko! —

Franciszka. Uprzejmy człowiek!

Panna. Dziękujemy.

Franciszka. I życzymy mu wzajemnie dzień dobry.

Gospodarz. Czy śmiem zapytać, jak jaśnie pani spędziła pierwszą noc pod moim lichym dachem?

Franciszka. Dach nie jest tak lichy, natomiast łóżka mogłyby być lepsze.

Gospodarz. Co słyszę? Nie dobrze się spoczywało? może ogromne zmęczenie podróżą. —

Franciszka. Być może.

Gospodarz. Z pewnością tak jest. — — Jednak, jeśli coś istotnie nie odpowiadałoby wymogom panny dobrodziejki, raczy tylko rozkazać, a —

Franciszka. Dobrze, panie gospodarzu, dobrze! My też nie tak nieśmiałe; najmniej zaś nieśmiałym należy być w gospodzie. Powiemy już, czego żądamy.

Gospodarz. Nadto przychodzę równocześnie wyciągając pióro z za ucha —

Franciszka. No? —

Gospodarz. Bezwątpienia zna jaśnie pani mądre przepisy naszej policyi.

Panna. Wcale nie, panie gospodarzu.

Gospodarz. Obowiązkiem naszym jako właścicieli zajazdów jest donieść pisemnie władzy najdalej do 24 godzin od czasu zamieszkania w gospodzie każdego obcego, bez względu na jego stan i płeć, — tegoż imię, miejsce zamieszkania, charakter, w jakim celu tu bawi, możliwe trwanie pobytu tutaj i t. p.

Panna. Bardzo dobrze.

Gospodarz. Jaśnie pani pozwoli tedy — przystępuje do stołu i przygotowuje się do pisania.

Panna. Bardzo chętnie. — Nazywam się —

Gospodarz. Przepraszam na chwileczkę. Pisze. „Dnia 22 sierpnia b. r. przybyła tu do hotelu pod królem hiszpańskim“ — Teraz łaskawe imię i nazwisko?

Panna. Panna von Barnhelm.

Gospodarz pisze. „von Barnhelm“ — Przyjeżdża? Skąd, jaśnie pani?

Panna. Z moich dóbr w Saksonii.

Gospodarz pisze. „Z dóbr w Saksonii.“ — Z Saksonii! Ej, ej, z Saksonii, jaśnie pani? z Saksonii?

Franciszka. No, dlaczegożby nie? Przecież — was pochodzenia z Saksonii za grzech nie poczytują?

Gospodarz. Grzech? Broń Boże! To byłby grzech nowego rodzaju! — Więc z Saksonii? Ej, z Saksonii! Luba Saksonia! Ale, jeśli się



nie mylę, jaśnie pani, to Saksonia nie jest mała i ma więcej — jakby to wyrazić? — cyrkulów, prowincyi. — Nasza policya jest bardzo ścisła, łaskawa panienko.

Panna. Rozumiem; więc ■ moich dóbr w Turyngii.

Gospodarz. Z Turyngii! Tak, tak będzie lepiej, jaśnie pani, tak jest dokładniej. Pisze i odczytuje. „Panna von Barnhelm, przyjeżdża ze swoich dóbr w Turyngii wraz z garderobianą i dwoma służącymi.“

Franciszka. Garderobiana? Tą ja mam być?

Gospodarz. Tak, moje piękne dziecko.

Franciska. Więc, panie gospodarzu, dodaj pan wyraz „panna“, panna garderobiana. Mówi pan, że policya jest bardzo ścisła; może stąd powstać nieporozumienie, które wprowadziłoby mnie w kłopot podczas moich zapowiedzi. Bo, musi pan wiedzieć, ja jestem jeszcze rzeczywiście panną i nazywam się Franciszka; nazwisko moje Willig; Franciszka Willig. Jestem także z Turyngii. Mój ojciec był młynarzem w jednym z dóbr panienki. Wioska ta nazywa się Rannsdorf-mały. Młyn ten ma obecnie mój brat. W bardzo młodym wieku przyszłam na dwór i wychowałam się wraz z panienką. Jesteśmy w równym wieku. Na przyszłą Gromniczną skończę 21 lat. Uczyłam się wszystkiego, czego się uczyła panienska. „

Będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli mię policya dokładnie pozna.

Gospodarz. Dobrze, lube dziecko; zapamiętam to sobie na wypadek, gdyby mię o to zapytano. — Ale teraz, jaśnie pani jakie sprawy ma pani tutaj?

Panna. Moje sprawy?

Gospodarz. Czy jaśnie pani szuka czego u jego królewskiej mości?

Panna. O, nie!

Gospodarz. Albo w naszych wysokich sądach?

Panna. Także nie.

Gospodarz. Czy też —

Panna. Nie, nie, przybyłam tu tylko w sprawach osobistych.

Gospodarz. Bardzo dobrze, jaśnie pani; ale jak się zowią te sprawy osobiste?

Panna. Zowią się — Franciszko — zdaje mi się, że nas tu przesłuchują.

Franciszka. Panie gospodarzu, przecież policya nie zechce znać tajemnic kobiety.

Gospodarz. Owszem, lube dziecko; policya chce wszystko wiedzieć; a szczególnie tajemnice.

Franciszka. I cóż, łaskawa panienko, cóż zrobić? — Więc słuchaj pan, panie gospodarzu; ale niech to zostanie tylko między nami, policyą a panem! —

Panna. Co mu też figlarka powie?

Franciszka. Przyjechałyśmy celem porwania królowi jednego oficera.

Gospodarz. Co? Jak? Moje dziecko! Moje dziecko!

Franciszka. Albo, aby się dać porwać jednemu oficerowi. To na jedno wychodzi.

Panna. Franciszko, oszalałaś? — Panie gospodarzu, ta wścibska kpi sobie z pana.

Gospodarz. Nie sędzę! Wprawdzie może sobie ze mnie uniżonego sługi dworować, ile jej się podoba, ale z wysokiej policyi —

Panna. Wie pan co, panie gospodarzu? Ja nie wiem, jak w tej sprawie postąpić. Zdaje mi się, że najlepiej byłoby całą tę pisaninę odłożyć do przyjazdu mego wuja. Powiedziałam już panu, dlaczego wraz ze mną nie przybył. Zdarzył mu się o dwie mile stąd wypadek z wozem i w żaden sposób nie chciał się na to zgodzić, bym z tego powodu jeszcze jedną noc spędziła w podróży. Musiałam więc naprzód jechać. Najdalej w 24 godzin tu przybędzie po mnie.

Gospodarz. Dobrze, jaśnie pani, zaczekamy więc na niego.

Panna. On potrafi odpowiedzieć na pytania. Będzie wiedział, o ile i komu ma się zwierzyć; i co może zataić.

Gospodarz. Tem lepiej. Naturalnie nie można żądać od młodego dziewczęcia, spozierając znacząco na Franciszkę by poważną sprawę z poważnymi ludźmi poważnie umiała traktować.

Panna. Wszak pokoje dla niego są już przygotowane, panie gospodarzu?

Gospodarz. Zupełnie, jasnie pani, zupełnie, z wyjątkiem jednego —

Franciszka. Z którego pan musiałby może dopiero wypędzić jakiego uczciwego człowieka?

Gospodarz. Panny garderobiane z Saksonii — są zapewne bardzo litościwe —

Panna. Jednak, panie gospodarzu, nieładnie pan postąpił. Raczej był pan powinien nas nie przyjąć.

Gospodarz. Jakto, jasnie pani, dlaczego?

Panna. Oficer przez nas wyrugowany —

Gospodarz. Jest przecież tylko odprawionym oficerem, jasnie pani.

Panna. Choćby nawet! —

Gospodarz. Którego kieszeń już prawie pusta —

Panna. Tem gorzej. Ma to być bardzo zasłużony mąż.

Gospodarz. Wszak mówię jasnie pani, że jest odprawionym —

Panna. Król nie może znać wszystkich zasłużonych mężów.

Gospodarz. O, pewnie ich zna, zna ich wszystkich. —

Panna. Więc nie może ich wszystkich nagrodzić.

Gospodarz. Byliby wszyscy nagrodzeni, gdyby się byli odpowiednio zachowywali. Ale ci panowie

podczas wojny tak hulali, jakgdyby wiecznie miała trwać wojna; jakgdyby zniesioną była raz na zawsze różnica między tem, co moje a twoje. Teraz wszystkie szynkownie i gospody nimi zapełnione; a gospodarze dobrze ich się strzedz powinni. Ja na tym jeszcze jako tako wyszedłem; jakkolwiek nie miał już pieniędzy, miał jednak przynajmniej coś wartościowego, a dwa, trzy miesiące byłby jeszcze mógł u mnie przemieszkać. Ale tak lepiej się stało. — Apropos, wszak jaśnie pani się zna na klejnotach?

Panna. Nie szczególnie.

Gospodarz. Czemużby nie? Muszę jaśnie pani pokazać pierścionek, cenny pierścionek. — Wprawdzie jaśnie pani ma także bardzo ładny pierścionek na palcu, a im dłużej mu się przypatruję, tem bardziej się dziwię, że tak podobny do mojego. O, przypatrz się jaśnie pani tylko, przypatrz się pani! Wyjmując go z pudełka i podając pannie. Co za ogień! Środkowy brylant sam waży zwyż pięć karatów.

Panna oglądając go. Gdzie jestem? Co widzę? Ten pierścień —

Gospodarz. Wart między braćmi 1500 talarów.

Panna. Franciszko! — Popatrzno! —

Gospodarz. Ja też się ani chwili nie namyślałem i pożyzyłem nań ośmdziesiąt pistolów.

Panna. Nie poznajesz go, Franiu?

Franciszka. Ten sam! — Panie gospodarzu, skąd pan ma ten pierścień? —

Gospodarz. Albo co, moje dziecko? Wszak ona nie rości sobie praw do niego?

Franciszka. My nie miałybyśmy prawa do tego pierścienia? Wewnątrz oprawy musi być wpisane imię panienki. Proszę pokazać, panienko.

Panna. Ten sam, ten sam! — Jak się ten pierścień dostał do pana, panie gospodarzu?

Gospodarz. Do mnie? Najuczciwszą drogą na świecie. Jaśnie pani, jaśnie pani, wszak pani nie pragnie mojej szkody, mojego nieszczęścia? Jak ja mogłem wiedzieć, skąd właściwie ten pierścień pochodzi? — Podczas wojny niejedno zmieniło właściciela z wiedzą lub bez wiedzy swojego pana. A wojna była wojną. Niejeden pierścionek z Saksonii poszedł za granicę. Proszę mi go zwrócić, jaśnie pani, proszę mi go zwrócić!

Franciszka. Przedtem odpowiedzieć: Od kogo go pan dostał?

Gospodarz. Od człowieka, o którymbyhym czegoś podobnego nie przypuszczał; od człowieka, który jest zresztą dobrym człowiekiem —

Panna. Od najlepszego człowieka pod słońcem, jeśli go pan ma od prawego właściciela. — Szybko przyprowadź mi go pan! To on sam być musi, albo taki, który go zna.

Gospodarz. Któż, kogoż, jaśnie pani?

Franciszka. Czy pan nie słyszy? Naszego majora.

Gospodarz. Majora? — Słusznie, ten, który

w tym pokoju przedtem mieszkał i od którego go mam, jest majorem.

Panna. von Tellheim?

Gospodarz. von Tellheim; tak! Pani go zna?

Panna. Czy ja go znam? On tutaj? Tellheim jest tutaj? On, on w tym pokoju mieszkał? On, on ten pierścień zastawił? Jak on mógł popaść w tak przykre położenie? Gdzie on jest? On jest pańskim dłużnikiem? Franciszko, podaj szkatułkę! Odemknij! Franciszka stawia szkatułkę na stół i odmyka. Ile on panu jest dłużny? — Komu jeszcze co dłużny? Przyprowadź mi pan wszystkich, którym jest dłużny. Oto są pieniądze, oto są weksle. — To wszystko jego!

Gospodarz. Co słyszę?

Panna. Gdzież on jest? Gdzie on?

Gospodarz. Przed godziną jeszcze był tu.

Panna. Szkaradny człowiecze, jak mogłeś dlań być tak szorstkim, tak srogim, tak okrutnym?

Gospodarz. Jaśnie pani wybaczy —

Panna. Prędko, sprowadź go pan tu.

Gospodarz. Być może, że jego służący jeszcze tu jest. Czy jaśnie pani sobie życzy, by on go wyszukał?

Panna. Czy ja chcę? Spiesz, goń; dla tej przysługi, zapomnę już o tem, jak źle pan z nim się obszedł.

Franciszka. W mig, panie gospodarzu, rażno, precz, precz! Wypycha go za drzwi.

SCENA III.

Panna, Franciszka.

Panna. Mam go więc znowu, Franiu! — Wiesz, mam go znowu! Nie wiem, co się ze mną dzieje z radości! Cieszę się, wraz ze mną, kochana Franciszko! Ale prawda, co tobie z tego? Powinnaś jednak, musisz się wraz ze mną cieszyć. Chodź, kochana, obsypię cię podarunkami, abys się mogła cieszyć wraz ze mną. Powiedz, Franiu, co ci dać? Co ci się najbardziej podoba? Co chciałabyś mieć? Weź, co chcesz, ciesz się tylko. Widzę już, że sama sobie nic nie weźmiesz. Czekaj! Szuka w szkatułce. Masz, kochana Franiu, daję jej pieniądze kup sobie, co ci się podoba. Żądaj więcej, jeśli to za mało. Ale ciesz się tylko ze mną. Tak smutno samej się cieszyć. Weźże —

Franciszka. Tak, jakbym ukradła, panienko; panienka jest pijana, z uciechy pijana.

Panna. Dziewczyno, gotowam się kłócić z pijanistwa, weź, bo — wolska jej gwałtem pieniądze do ręki. Czekaj; dobrze, że sobie przypominałam. Jeszcze raz wyjmuję pieniądze ze szkatułki. To, kochana Franiu, schowaj dla pierwszego rannego, ubogiego żołnierza, który do nas przemówi.

SCENA IV.

Gospodarz, Panna, Franciszka.

Panna. I co? Przyjdzie?

Gospodarz. Nieznosny, nieokrzesany chłop!

Panna. Kto?

Gospodarz. Jego służący. Wzbrania się iść po niego.

Franciszka. Przyprowadźże pan tu tego hultaja. Wszak znam dobrze wszystkich służących majora. Któryżby to mógł być?

Panna. Sprowadź go pan tu szybko. Skoro nas zobaczy, pójdzie. Gospodarz odchodzi.

SCENA V.

Panna, Franciszka.

Panna. Nie mogę się tej chwili doczekać. Ale, Franciszko, tyś wciąż jeszcze tak chłodna. — Jeszcze się nie chcesz cieszyć wraz ze mną?

Franciszka. Radabym z duszy; gdyby tylko —

Panna. Gdyby tylko?

Franciszka. Odnalazłyśmy go; ale w jakim stanie go odnajdujemy? Według tego, co o nim słyszymy, musi z nim być bardzo źle. On musi być nieszczęśliwy — to mię boli.

Panna. Boli cię? — Pozwól, niech cię uścisknę, moja najdroższa towarzyszko! Tego ci nigdy nie zapomnę! — Ja jestem tylko zakochana, ty zaś jesteś dobra. —

SCENA VI.

Gospodarz, Just, Poprzednie.

Gospodarz. Z ciężką biedą go przyprowadzam.

Franciszka. Obca twarz, nie znam go.

Panna. Mój przyjacielu, on jest u majora
v. Tellheim?

Just. Tak jest.

Panna. Gdzie jest jego pan?

Just. Tu go niema.

Panna. A czy on wie, gdzie go można zastać?

Just. Tak jest.

Panna. Czy nie chciałby go on tu prędko
przyprowadzić?

Just. Nie!

Panna. On mi w ten sposób wyświadczy
przysługę.

Just. Ejże!

Panna. Swemu panu zaś nawet bardzo wielką
przysługę.

Just. A może i nie.

Panna. Czemu on tak przypuszcza?

Just. Wszak pani jest tem obcem państwem,
które mu dziś rano przesłało ukłony?

Panna. Tak jest.

Just. Więc jestem już na drodze.

Panna. Czy jego pan wie, jak się nazywam?

Just. Nie; taksamo jednak nie znosi zbyt
grzecznych dam, jak zbyt grubiańskich gospodarzy.

Gospodarz. To się ma do mnie odnosić?

Just. Tak jest.

Gospodarz. Przecież jaśnie pani za to nie
odpowiada; niechże on go tu szybko sprowadzi!

Panna do Franciszki. Franciszko, daj mu coś —

Franciszka która chce Justowi wciśnąć pieniądz w rękę. Nie żądamy jego usług daremnie.

Just. A ja waszych pieniędzy bez usług.

Franciszka. Jedno za drugie!

Just. Nie mogę. Mój pan mi rozkazał pakować. To właśnie czynię i proszę mi w tem nie przeszkadzać. Skoro będę gotów, chętnie mu powiem, że może tu przyjść. Jest on tuż obok w kawiarni; jeśli nie lepszego nie będzie miał do roboty, zapewne przyjdzie. Chee odejść.

Franciszka. Niechże on poczeka. — Jaśnie pani jest pana majora — siostrą.

Panna. Tak, tak, jego siostrą.

Just. O tem, że pan major nie ma siostry, ja wiem najlepiej. W przeciągu sześciu miesięcy porywał mnie dwa razy do swej rodziny w Kurlandyi. — Istnieją wprawdzie siostry pewnego rodzaju —

Franciszka. Bezwstydney!

Just. Alboż się takim być nie musi, gdy inaczej odejść nie można. Odechdzi.

Franciszka. To dopiero hultaj!

Gospodarz. Mówiłem przecież. Ale dajmy temu pokój! Tylko, jaśnie pani, proszę najumiętniej o łaskawe usprawiedliwienie mnie przed panem majorem, że byłem na tyle nieszczęśliwy, iż wbrew mojej woli człowieka tak zasłużonego —

Panna. Idź pan tylko, jak najprędzej, panie gospodarzu. Już ja to wszystko uczynię. Gospodarz odchodzi, następnie Franciszko, pobiegnij za nim: niech mojego nazwiska nie wspomina! *Franciszka* wybiega za gospodarzem.

SCENA VII.

Panna a następnie Franciszka.

Panna. Mam go znowu! — Jestem sama? Nie chcę daremnie być samą. Składa ręce. Wszak nie jestem samotna! Spogląda w górę. Jedno, jedyne wdzięczne spojrzenie ku niebu jest najdoskonalszą modlitwą! — Mam go, mam go! Co może Stwórca być miłszem nad widok wesołego stworzenia — Franciszka nadchodzi. Wróciłaś już, Franiu? Żal ci go? Mnie go nie żal. Nieszczęście także jest dobre. Może mu niebo wszystko zabrało, aby mu we mnie wszystko zwrócić!

Franciszka. On może każdej chwili nadejść. Panienska jeszcze w negliżu. Czy nie lepiej byłoby ubrać się szybko?

Panna. Idź, proszę cię! Od dziś częściej mię będzie widział taką, niż wystrojoną.

Franciszka. O, panienska dobrze siebie zna.

Panna po krótkim namyśle. Zaprawdę, dziewczę, znowu odgadłaś.

Franciszka. Kto jest piękny, bez stroju jest najpiękniejszy.

Panna. Czyż musimy być piękne? — Było jednak może koniecznem, byśmy swej piękności były świadome. Nie, skoro tylko w jego, w jego oczach jestem piękna! Franiu, jeśli wszystkie dziewczęta są takie, jaką ja się teraz czuję, to jesteśmy — dziwne istoty! Tkliwe i dumne,

cnotliwe i próżne, lubieżne i pobożne. Ty mnie nie zrozumiesz. Sama siebie, zdaje się, nie rozumiem. Radość obraca nami, wiruje.

Franciszka. Proszę się upamiętać; słyszę kroki —

Panna. Upamiętać się? Mogę go przyjąć spokojnie?

SCENA VIII.

v. Tellheim, Gospodarz, Poprzednie.

v. *Tellheim* wchodzi, spostrzegając ją przybiega do niej. Ach! Moja Minna!

Panna biegnie ku niemu. Ah, mój Tellheim!

v. *Tellheim* miesza się nagle i cofa się. Wybacz, łaskawa pani, — zastanie panny von Barnhelm —

Panna. Nie może przecie pana tak zdziwić? W miarę, jak ona doń się zbliża, on się cofa. Ja mam panu wybaczyć, że jestem jeszcze pańską Minną? Niech Bóg panu wybaczy, że jestem jeszcze panną von Barnhelm!

v. *Tellheim.* Łaskawa pani!... Patrzy nieustannie na gospodarza i wzrusza ramionami

Panna spostrzega gospodarza i daje znak Franciszce. Mój panie —

v. *Tellheim.* Jeśli się oboje nie mylimy —

Franciszka. Ej, panie gospodarzu, kogoż nam pansprowadził? Nuż, chodźmy szukać prawdziwego.

Gospodarz. Czyż to nie ten? Ej, przecież, zdaje się, że tak!

Franciszka. Ej, przecież nie ten! Chodźmy prędko; jeszcze pańskiej córce nie powiedziałam dzień dobry.

Gospodarz. O, za wielki zaszczyt — nie rusza się jednak z miejsca.

Franciszka pochwycę go. Chodźmy, ułożymy obiad. — Zobaczymy, co kazać przyrządzić —

Gospodarz. Na pierwsze danie będzie —

Franciszka. Cicho, cicho! Jaśnie pani straci apetyt, skoro teraz się dowie, co będzie na obiad. Chodźmy, o tem tylko ja mam wiedzieć. Wyprawdza go przemocą.

SCENA IX.

v. Tellheim, Panna.

Panna. Cóż? Jeszcze się mylimy.

v. Tellheim. Że też to nieba tak dały! — Ale istnieje tylko jedna, a tą pani jesteś.

Panna. Co za korowody! Co sobie mamy do powiedzenia, każdy może słyszeć.

v. Tellheim. Pani tutaj? Czego pani tu szuka, łaskawa pani?

Panna. Nie szukam już — podchodząc ku niemu z otwartymi ramionami. Wszystko, czego szukałam, znalazłam.

v. Tellheim cofając się. Szukała pani męża szczęśliwego, godnego miłości pani, a znajdujesz — nędzarza.

Panna. Więc pan mnie już nie kocha? Kocha pan inną?

v. Tellheim. Ah! Ten pani nigdy nie kochał, kto po pani inną kochać może.

Panna. To mała ulga dla mej strapionej duszy. Skoro ja serce pańskie utraciłam, nie jednakoż mi, czy obojętność, czy silniejsze wdzięki mię o tę stratę przypawiły? Mnie pan nie kochasz i nie kochasz pan innej? — Nieszczęśliwy, gdy wcale nie kochasz!

v. Tellheim. Słusznie, łaskawa pani, nieszczęśliwy wcale nie śmie kochać. Zasługuje na swe nieszczęście, kto nad uczuciem panować nie umie; jeśli może zezwolić na to, by ci, których kocha, skutkiem tegoż nieszczęścia wraz z nim cierpieli. Jakże trudnem jest takic zwycięstwo nad sobą samym! Odkąd mi rozsądek i konieczność nakazały zapomnieć Minnę von Barnhelm; ileż trudu mię to kosztowało! Właśnie począłem się cieszyć nadzieją, że mozoły te nie były daremne, — zjawiasz się pani! —

Panna. Czy dobrze zrozumiałam! — Zaczekaj, mój panie; oglądnijmy się, gdzie jesteśmy, nim dalej błąkać się zaczniemy! Odpowiesz mi pan na jedno pytanie?

v. Tellheim. Na każde, pani.

Panna. A czy mi pan odpowiesz wprost, bez wykrętów? Po prostu suchem tak lub nie?

v. Tellheim. Chętnie, jeśli będę mógł.

Panna. Możesz pan. Więc dobrze: czy mimo trudów, które pan sobie zadawał, by o mnie zapomnieć, kochasz mię pan jeszcze, Tellheim?

v. Tellheim. Pani, to pytanie —

Panna. Przyszedł mi pan odpowiedzieć tylko tak lub nie.

v. Tellheim. I dodałem: jeśli będę mógł.

Panna. Możesz pan. Wszak pan musisz wiedzieć, co się w pańskim sercu dzieje. Czy mię pan jeszcze kochasz? Tak albo nie!

v. Tellheim. Jeśli moje serce —

Panna. Tak albo nie!

v. Tellheim. No, tak!

Panna. Tak?

v. Tellheim. Tak, tak! — Jednak —

Panna. Cierpliwości. — Kochasz mię pan jeszcze; dość dla mnie. — W jakiż to ton popadliśmy! Nieznośny, melancholijny, zaraźliwy ton! Wracam do swojego sposobu mówienia. — Otóż, mój kochany biedaku, kochasz mię pan jeszcze, masz pan jeszcze swoją Minnę i jesteś pan nieszczęśliwy? Posłuchajże pan, jak zarozumiała, nedorzeczną istotą pańska Minna była — jest. Wmawiała, wmawia w siebie, że całym szczęściem pańskim jest ona. Szybko, roztasujże pan swoje nieszczęście. Chce się ona przekonać, ile wobec niego zaważy na szali. — Otóż?

v. Tellheim. Pani, nie przywykłem do skarg.

Panna. Całkiem słusznie! Nie wiem też, co w żołnierzu mniej się może po chętności podobać, niż narzekanie. Istnieje jednak pewien zimny, niedbały sposób mówienia o swej waleczności i o doznanych nieszczęściach.

v. *Tellheim*. Co w gruncie rzeczy jednak pozostaje chętnością i narzekaniem.

Panna. O, mój panie, więc i pan nie powinien był nazwać się nieszczęśliwym. — Albo zupełnie milczeć albo wszystko wyśpiewać. — Rozsądek, konieczność, które panu każą zapomnieć o mnie? — Bardzo lubię rozsądek, czołem biję przed koniecznością. Chcę jednak wiedzieć, jak rozsądnym jest ten rozsądek i jak konieczną jest ta konieczność.

v. *Tellheim*. Dobrze więc, proszę mię wysłuchać, moja pani. — Nazywasz mię pani Tellheim; imię to samo. — Ale pani sądzisz, że ja jestem owym Tellheimem, którego pani znałaś w swojej ojczyźnie, owym junakiem, pełnym roszczeń, pełnym żądzы sławy; który władał całym sobą, całą swoją duszą; dla którego szranki zaszczytów i szczęścia stały otworem; który jakkolwiek nie był jeszcze godzien serca i ręki pani, śmiał tuszyc, że z każdym dniem stanie się pani godniejszym. — Owym Tellheimem nie jestem już tak samo, — jak nie jestem swoim własnym ojcem. Obaj już nie istnieją. Jestem Tellheim, ale odprawiony, ukrócony na czci, kaleka, żebrak. — Chciałabyś pani temu dotrzymać słowa, któreś dała owemu?

Panna. Wszystko to brzmi bardzo tragicznie! Jednak, panie, dopóki owego nie odnajdę, — zadurzyłam się już raz w tych Tellheimach —

już ten od biedy będzie mi musiał wystarczyć. —
Podaj rękę, kochany żebraku! Ujmuje go za rękę.

v. Tellheim zakrywa twarz drugą ręką i odwraca się od niej. Tego już nadto! Gdzie jestem? — Puść mnie, pani! Dobroć pani mię dręczy. — Proszę mię puścić.

Panna. Co się panu stało? Dokąd tak?

v. Tellheim. Byle od pani!

Panna. Odemnie? Przyciągając jego rękę do swojej piersi. Marzycielu!

v. Tellheim. Z rozpaczy trupem padnę u nóg pani.

Panna. Byle odemnie?

v. Tellheim. Od pani — aby pani nigdy, nigdy już nie widzieć. — W każdym razie postanowiłem, jestem mocno zdecydowany podłości się nie dopuścić — pani nie dać się unieść nieroztropnością. — Proszę mię puścić, Minno! Wrywa się, ucieka.

Panna za nim. Minna ma pana puścić? *Tellheim!* *Tellheim!*

Akt trzeci.

SCENA I.

Sala.

Just z listem w ręku.

Że też muszę jeszcze raz przestąpić próg tego przekłętego domu! — Liścik od mojego pana do jaśnie pani, która się mieni jego siostrą. — Żeby co z tego nie było. — Inaczej noszeniu listów końca nie będzie. — Chciałbym się go pozbyć, ale nie chciałbym wejść do pokoju. Te baby tyle pytają, a ja tak nie lubię odpowiadać! — Ha! drzwi się otwierają. Jak na zawołanie! Garderobianeczka!

SCENA II.

Franciszka, Just.

Franciszka w stronę, którądy przyszła. Proszę się o to nie troszczyć; będę już uważała. — Patrzcie spostrzegając Justa odrazu na coś natrafiłam. Ale z tem bydlęciem niema co poczynać.

Just. Jej sługa —

Franciszka. Ja nie chciałabym takiego sługi.

Just. No, no, proszę mi wybaczyć mój sposób wyrażania się. Przynoszę liścik od mojego pana do jej państwa, do jaśnie pani — siostry. Czyż nie tak powiedziano? siostra.

Franciszka. Niechże go da! Wrywa mu list z rąk.

Just. Mój pan prosi, by była tak grzeczna i go wręczyła paniencie. Nadto, niech ona będzie tak grzeczna, prosi mój pan — niechże ona sobie nie myśli, że ja o co proszę! —

Franciszka. I co?

Just. Mój pan umie się brać do rzeczy, on wie, że droga do panienek prowadzi przez garderobiane, przedstawiam to sobie! — Niechże ona będzie tak grzeczna, — prosi mój pan, — i mu da znać, czy nie mogłaby mu panna garderobiana użyczyć przyjemności rozmowy na kwadransik.

Franciszka. Ze mną?

Just. Niech mi ona daruje, jeśli ją niewłaściwie zatytułowałem. — Tak, z nią! — Tylko na kwadransik, ale sam na sam, potajemnie, w cztery oczy. Chce jej coś ważnego powiedzieć.

Franciszka. Dobrze; ja z nim także mam o wielu rzeczach pomówić. Niech tylko przyjdzie, stawię się na jego żądanie.

Just. Ale kiedy może przyjść? Kiedy jej najdogodniej, panno? Tak o zmierzchu?

Franciszka. Jakżeż on to rozumie? Jego pan może przyjść, kiedy mu się podoba — a teraz niechże on mi się zabiera stąd!

Just. Najchętniej! Chce odejść.

Franciszka. Niechże on słucha! Jeszcze na słówko. — Gdzież są inni służący majora?

Just. Inni? Tu, tam i ówdzie.

Franciszka. Gdzie jest Wilhelm?

Just. Pokojowiec? Temu major pozwala podróżować.

Franciszka. Tak? A Filip, gdzie ten jest?

Just. Strzelec? Tego pan odstąpił.

Franciszka. Bo teraz niema polowania zapewne. Ale Marcin?

Just. Woźnica? Pojechał.

Franciszka. A Fryc?

Just. Kuryer? Awansował.

Franciszka. A gdzież on był, gdy major był u nas w Turynгии na zimowej kwaterze? On zapewne jeszcze wtedy nie był u niego?

Just. O tak, byłem u niego masztalerzem, ale naonczas leżałem w lazarecie.

Franciszka. Masztalerzem? A czem on teraz jest?

Just. Do wszystkiego! Pokojowiec i strzelec, kuryer i masztalerz.

Franciszka. To dopiero! tylu dobrych, zdolnych ludzi odprawił, a właśnie najgorszego zatrzymał! Radabym wiedzieć, co takiego w nim jego pan mógł dostrzec.

Just. Może to, że ja uczciwy chłop.

Franciszka. O, to zbyt mało, jeśli się więcej nic w sobie nie ma nad to, że się jest uczciwym. — Wilhelm był inny człowiek! — Pan mu pozwala podróżować?

Just. Tak, pozwala mu, — bo nie może temu przeszkodzić.

Franciszka. Jakto?

Just. O, Wilhelm da sobie radę w drodze. Ma ze sobą całą garderobę pańską.

Franciszka. Co słyszę? Wszak z nią nie uciekł?

Just. Tego o nim powiedzieć nie można; nie przyjechał tylko za nami, gdy wyruszyliśmy z Norymbergi.

Franciszka. To łotr!

Just. On był człowiekiem wcale na miejscu! Umiał golić, fryzować, parlować, zachwycać; — nieprawdaż?

Franciszka. Na miejscu majora nie byłabym więc oddaliła strzelca. Jeśli mu nie mógł służyć za strzelca, był to w każdym razie zdolny chłopak. Komuż go odstąpił?

Just. Komendantowi twierdzy.

Franciszka. Komendantowi twierdzy? Wszak polowanie na wałach nie może być tak duże.

Just. O, Filip tam też nie poluje.

Franciszka. A cóż on tam robi?

Just. Robi — w taczkach.

Franciszka. W taczkach?

Just. Ale poszedł tam tylko na trzy lata. Uknął małeńki spisek w kompanii pana i chciał sześciu ludzi przeprowadzić przez przednią straż.

Franciszka. Zdumiewające, a to złoczyńca!

Just. O, to dzielny chłopak! strzelec, który na pięćdziesiąt mil w około wśród lasów i bagien zna wszelkie ścieżki, wszelkie manowce. A jak dobrze strzela!

Franciszka. Dobrze, że major ma jeszcze dzielnego woźnicę!

Just. Alboż go jeszcze ma?

Franciszka. Zdaje mi się, on powiedział, że Marcin pojechał. Wróci więc zapewne?

Just. Tak ona sądzi?

Franciszka. A dokądże pojechał?

Just. Odkąd pojechał pławić ostatniego konia pana majora, mija już dziesięć tygodni.

Franciszka. I jeszcze nie wrócił? O, to łajdak!

Just. Możliwem jest, że się dzielny woźnica podczas pławienia utopił. To dopiero był woźnica! We Wiedniu dziesięć lat powoził! Takiego już pan z pewnością nie dostanie. Gdy konie były w największym pędzie, swoim: Brr! zatrzymywał je nagle, iż stawały jak wryte. Nadto był wyuczonym konowałem.

Franciszka. Obawiam się awansem kuryera.

Just. Niepotrzebnie, to ma swoją rację. Został doboszem przy pułku garnizonowym.

Franciszka. Prawie tak myślałam.

Just. Fryc przylgnął do jakiejś rozpustnicy, nocą nigdy nie przychodził do domu, na imię pana wszędzie zaciągał długi i płatał tysiące nikczemnych figlów. Dość, że pan major zauważył, że on chce siłą mocą pójść wyżej; udaje mimicznie wieszanie oddał go więc, gdzie należało.

Franciszka. A to drab!

Just. Ale jest znakomitym kuryerem, to pewne.

Gdy go pan puścił naprzód na pięćdziesiąt kroków, nie mógł go najszybszym wyścigowcem dogonić. Fryc zaś może szubienicę o tysiąc kroków mieć przed sobą, a jednak, głowę daję na to, dogoni ją. — Wszak ci wszyscy byli jej dobrymi przyjaciółmi, panno? I Wilhelm i Filip i Marcin i Fryc. — No, Just się kłania! Odchodzi.

SCENA III.

Franciszka, następnie Gospodarz.

Franciszka patrzy za nim poważnie. Zastanawiam się, by mi tak dociał! — Dziękuję, Just. — Zbyt nisko ceniłam uczciwość. Nie zapomnę tej nauczki. Ah, nieszczęśliwy człowiek! Odwraca się i chce iść do pokoju panienki, gdy nadechodzi gospodarz.

Gospodarz. Proszę zaczekać, śliczne dziecko. —

Franciszka. Nie mam teraz czasu, panie gospodarzu. —

Gospodarz. Chwileczkę tylko! — I żadnej wiadomości dotąd od pana majora? Niemożliwe, aby to miało być jego pożegnanie!

Franciszka. Cóż takiego?

Gospodarz. Czy jej o tem jaśnie pani nie mówiła? Gdy ją, piękna panno, zostawiłem na dole w kuchni, przypadkowo przyszedłem znów tu do sali —

Franciszka. Przypadkowo, z zamiarem podsłuchiwania.

Gospodarz. Ej, moje dziecko, jakżeż ona może o mnie tak sądzić? Nic nie przystoi gospodarzowi mniej, jak ciekawość. Skoro tu tylko przyszedłem, otwarły się nagle drzwi z pokoju jaśnie pani. Major wypadł; jaśnie pani za nim; ruchy, spojrzenia, postawa obojga, — powiadam jej, — nie, coś takiego nie da się opisać, to trzeba widzieć, widzieć na własne oczy. Ona go pochwyciła; on się wyrwał; ona go znowu pochwyciła. „Tellheim!“ — „Pani, proszę mię puścić!“ — „Dokąd?“ Tak ją ciągnął aż do schodów. Obawiałem się już, by jej nie ściągnął za sobą. Wyrwał się jednak. Panna stanęła na górze, patrzyła za nim, wołała za nim, łamała ręce. Nagle odwróciła się, pobiegła ku oknu, od okna ku schodom, to znów od schodów do sali, gdzie ja stałem; trzy razy przeszła obok mnie i mnie nie widziała. Wtem zdawało się, że mię widzi; ale, zmiłuj się, mój Boże! sądzę, że jaśnie pani wzięła mię za nią, lube dziecko. „Franciszko — wołała, mając wzrok we mnie utkwiony — czy jestem teraz szczęśliwa?“ Następnie błędne oczy powiodła ku powale i pytała po raz drugi: „Jestem ja teraz szczęśliwa?“ Potem otarła łzy z oczu, uśmiechnęła się i znów mię pytała: „Franciszko, czy jestem teraz szczęśliwa?“ Zaiste, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Jeszcze do drzwi nie dobiegła, gdy jeszcze raz wróciła do mnie: „Chodźże, Franciszko; kogoż ci żał?“ — To rzekłszy, poszła. —

Franciszka. O, panie gospodarzu, to się panu przyśniło.

Gospodarz. Przyśniło mi się? Nie, lube dziecko, sny nie są tak szczegółowe. — Tak, dałbym dużo za to, — wcale nie jestem ciekawy, — ale dużo dałbym za to, gdybym mógł dostać klucza do tego.

Franciszka. Klucza? Do naszych drzwi, panie gospodarzu? Tkwi on wewnątrz; na noc wzięłyśmy go do siebie; boimy się.

Gospodarz. Nie taki klucz; chciałem powiedzieć, lube dziecko, klucz, że tak powiem wyjaśnienie, właściwy związek z tem, co widziałem.

Franciszka. A, tak? Do widzenia więc, panie gospodarzu. Czy prędko będzie obiad, panie gospodarzu?

Gospodarz. Lube dziecko, proszę nie zapomnieć, co ja właściwie chciałem powiedzieć.

Franciszka. No? Ale raz dwa.

Gospodarz. Jaśnie pani ma jeszcze mój pierścień; zowią go moim. —

Franciszka. Nie zaginie.

Gospodarz. O to się wcale nie obawiam; przypominam tylko. Widzi ona, nie chcę nawet, by mi go zwrócono. Domyślam się już, skąd ona знаła ten pierścień, i czemu on tak podobny do tego, który ma sama. U niej też jest najlepiej przechowany. Nie chcę go więcej i tylko te sto pistoli, które nań dałem, wpiszę do rachunku pani. — Nieprawdaż, moje dziecko?

SCENA IV.

Paweł Werner, Gospodarz, Franciszka.

Werner. Otóż i on!

Franciszka. Sto pistolów? Zdawało mi się, że tylko ośmdziesiąt.

Gospodarz. To prawda, tylko dziewięćdziesiąt, tylko dziewięćdziesiąt, dobrze.

Franciszka. Już się to jakoś robi, panie gospodarzu.

Werner który z tyłu się zbliżył i nagle ujął Franciszkę za ramię. Kobietko! Kobietko!

Franciszka przestraszona. He!

Werner. Niechże się ona nie przestrasza! — Kobietko, kobietko, widzę, że ona jest piękna i tu obca. — A pięknych cudzych ludzi należy ostrzegać. — Kobietko! kobietko, niechże się ona tego człowieka wystrzega. Wskazując na gospodarza.

Gospodarz. Ej, niespodziewana radość! Pan Paweł Werner! Witamy u siebie, witamy! — To przecież jeszcze ten sam wesoły, żartobliwy, uczciwy Werner! — Mnie się ona ma wystrzegać, lube dziecko! Ha, ha, ha!

Werner. Proszę go wszędzie omijać!

Gospodarz. Mnie! Mnie! Czyż jestem tak niebezpieczny? Ha, ha, ha! Proszę słuchać, lube dziecko! Jak jej się podoba ten żart?

Werner. Że też zawsze tacy, jak on prawdę, którą im się mówi, nazywają żartem.

Gospodarz. Prawdę! Ha, ha, ha! — Nieprawdaż, lube dziecko, coraz lepiej! Ten człowiek umie żartować! Ja niebezpieczny? — Ja? Tak przed dwudziestu laty — co innego. Tak, tak, lube dziecko, wtedy byłem niebezpieczny, niejedna mogłaby coś o tem powiedzieć, ale teraz...

Werner. A to stary dureń!

Gospodarz. Otóż to. Gdy się postarzelśmy, przestaliśmy być niebezpieczni. Z nim też lepiej nie będzie, panie Werner!

Werner. Dostyc tych głupstw! Do stu dyabłów! — Kobietko, na tyle rozumu przecież mam, by o niebezpieczeństwie tego rodzaju nie mówić. Jednego dyabła wprowadzie się pozbył, ale siedmiu innych go opętało.

Gospodarz. O, proszę słuchać, proszę słuchać! Jak on to umie ładnie wyrazić! Żart za żartem, a coraz coś nowego! O, to dowcipny człowiek, ten pan Paweł Werner! — Do Franciszki jakby do ucha. Zamożny człowiek, jeszcze kawaler. O trzy mile stąd ma ładną wioskę sołtysowską. Co on łupów nazdobywał na wojnie! I był wachmistrzem u naszego pana majora. O, to przyjaciel naszego pana majora! To przyjaciel, któryby się zań dał na śmierć usiekać! —

Werner. Tak! A to także przyjaciel mojego majora! — którego major powinien kazać usieć.

Gospodarz. Co? jak? Nie, panie Werner, to brzydki żart. — Ja nie sprzyjam majorowi? Nie, tego ż rtu nie rozumiem.

Werner. Just mi ładne rzeczy opowiadał.

Gospodarz. Just? Czułem, że Just przez pana mówi. Just jest zły, brzydki człowiek. Ale mamy tu lube dziecko; ono może mówić, ono może powiedzieć, czy ja nie sprzyjam panu majorowi? czy ja mu nie wyświadczyłem przysługi? Czemuż nie miałbym mu sprzyjać? Czyż nie jest zasłużonym mężem? Prawda, że był na tyle nieszczęśliwym, iż otrzymał dymisyę; ale czegoż to dowodzi? Król nie może znać wszystkich zasłużonych mężów; a gdyby ich nawet znał, nie może ich wszystkich nagrodzić.

Werner. To Bóg go natchnął! — Ale Just — prawda, że w nim nie ma nic nadzwyczajnego; jednak kłamcą Just nie jest; a jeśli to prawda, co on mi powiedział —

Gospodarz. Nie chcę o nim wcale słyszeć! — Jak rzekłem, niech to lube dziecko powie! Do niej do ucha. Ona wie, moje dziecko, pierścień! — Niech ona to opowie panu Wernerowi. Z lepszej strony mię pozna. Aby zaś nie wyglądało, że tylko z mojej namowy tak mówi, nie chcę nawet być przy tem. Nie będę przy tem, pójdę; ale pan mi to przyzna, panie Werner, pan mi to przyzna, że Just jest szkaradnym oszczercą.

SCENA V.

Paweł Werner, Franciszka.

Werner. Kobietko, czyż ona zna mojego majora?

Franciszka. Majora von Tellheim? Rozumie się, znam tego dzielnego męża.

Werner. Czyż to nie dzielny mąż? A sprzyja ona temu mężowi?

Franciszka. Z głębi serca.

Werner. Istotnie? Widzi ona, kobietko, teraz wydaje mi się ona dwa razy piękniejszą. Ale, jakież to są przysługi, które gospodarz miał wyświadczyć majorowi?

Franciszka. Nie wiem; chyba, że sobie chce przypisać dobre, które na szczęście jest wynikiem jego szelmowskiego postępowania.

Werner. Więc, widać, prawdą jest, co mi Just powiedział? W stronę, w którą gospodarz odszedł. Twoje szczęście, że się wyniosłeś! — On mu rzeczywiście pokój wyprzątnął? Takiemu mężowi wypłatać takiego figla, dlatego, że sobie ta ośla pałka uroiła, że major już nie ma pieniędzy! Major nie ma pieniędzy?

Franciszka. Tak? Major ma pieniądze?

Werner. Jak lodu! Nie wie nawet, ile ma. Nie wie, kto mu dłużny. Ja sam jestem jego dłużnikiem i przynoszę mu właśnie dawną resztę. Widzi ona, kobietko, w tym oto woreczku który wyciąga z jednej kieszeni jest sto luidorów, a w tym ruloniku który wyciąga z drugiej kieszeni sto dukatów. To wszystko jego!

Franciszka. Czy tak? czemuż więc major zastawia? zastawił przecież pierścień.

Werner. Zastawił! Niechże ona temu nie wierzy. Chciał się zapewne tego głupstwa pozbyć.

Franciszka. To nie głupstwo! To kosztowny pierścień, który nadto z miłych rączek otrzymał.

Werner. Otóż to! z miłych rączek! Tak! tak! Coś takiego przypomina nieraz kogoś, o kimby się nie chciało pamiętać. Trzeba to więc usunąć z przed oczu.

Franciszka. Jakżeż?

Werner. Żołnierzowi dziwnie się wiedzie na kwaterach zimowych. Nie ma tam nic do roboty, więc pielęgnuje się i zawiera znajomości, rozumie się tylko na zimę; ale szczere serduszko, z którym się zaznajamia, sądzi, że to na wieki. Husz, i już jest pierścioneczek na palcu; on sam nie wie, jak do tego przyszło. Nieraz zaś oddałby człowiek chętnie i palec, byle tylko zbyć się pierścionka.

Franciszka. Ejże! a czy i panu majorowi tak się przydarzyło?

Werner. Pewnie. Szczególnie w Saksonii; gdyby był miał po dziesięć palców u każdej ręki, na wszystkich dwudziestu miałby pierścionki.

Franciszka. To brzmi szczególnie i zasługuje na zbadanie. — — Panie sołtysie, czy panie wachmistrzu —

Werner. Kobietko, jeśli jej to nie przeszkadza, najchętniej słyszę: panie wachmistrzu.

Franciszka. Więc, panie wachmistrzu, mam

tu liścik od pana majora do mojej panienki. Raz dwa zaniosę i wrócę. Czy będzie on tak dobry i tu na mnie zaczeka. Chciałabym z nim trochę pogawędzić.

Werner. A lubi ona gawędzić, kobietko? Więc, co do mnie, proszę iść; ja też chętnie gawędzę; będę czekał.

Franciszka. Proszę więc czekać. Odchodzi.

SCENA VI.

Paweł Werner sam.

Niczego kobietka! — Jednak nie byłem powinien jej przyrzec, że będę czekał. Najważniejszym ma być dla mnie odszukanie majora. On nie chce moich pieniędzy i raczej zastawia? — Po tem go poznaję. — Wiem już, jakiego fortelu użyję. — Gdy przed czternastu dniami byłem w mieście, odwiedziłem rotmistrzową Marloff. Biedna kobieta była chora i lamentowała, że jej mąż pozostał dłużnym majorowi 400 talarów, których nie może zapłacić. — Dziś znowu ją chciałem odwiedzić; chciałem jej powiedzieć, że jej będę mógł pożyczyć 500 talarów, skoro otrzymam pieniądze za moją wioskę. — Muszę bowiem coś trochę zabezpieczyć na wypadek, gdyby mi się w Persyi nie powiodło. — Jej tu jednak już dawno niema. A z wszelką pewnością nie mogła zapłacić majorowi. Tak jest, w ten sposób to

uczynię; a im prędzej, tem lepiej. — Kobietka niech mi tego za złe nie weźmie; nie mogę czekać. Odchodząc zamyślony, zderza się prawie z majorem, który z przeciwnej strony nadchodzi.

SCENA VII.

v. Tellheim, Paweł Werner.

v. *Tellheim*. Tak zamyślony, Werner?

Werner. Otóż i pan; chciałem właśnie pójść odwiedzić pana na nowej kwaterze, panie majorze.

v. *Tellheim*. Aby mi nakłąć gospodarza dawnej. Nie wspominaj mi o tem.

Werner. To byłbym także zrobił; tak. Ale właściwie chciałem tylko panu podziękować za łaskawe przechowanie mi stu luidorów. Just mi je zwrócił. Byłoby mi wprawdzie przyjemniej było, gdybyś je pan był mógł dłużej zatrzymać. Wprowadził się pan jednak do nowej kwatery, nie znanej ani panu ani mnie. Kto wie, jak tam jest. Mógłby je tam kto ukraść, pan zaś musiałby mi później za nie dać swoje własne; nieby tu nie pomogło. Nie mogę więc tego od pana wymagać.

v. *Tellheim*. Odkąd jesteś tak ostrożny, Werner?

Werner. Człowiek się tego uczy. W dzisiejszych czasach musi się być bardzo ostrożnym w sprawach pieniężnych. — Nadto mam jeszcze zlecenie do pana, panie majorze, od rotmistrzowej Marloff; właśnie od niej wracam. — Jej mąż został panu dłużnym 400 talarów; oto posyła panu na rachunek sto dukatów. Resztę odeszle w na-

stępnym tygodniu. Po części ja sam temu winien, że już teraz całej sumy nie posyła. Bo i mnie się u niej należało jakich osmdziesiąt talarków; a ponieważ sądziła, że przyszedłem się upomnieć, — jak to rzeczywiście było — więc mi je oddała, a to z ruloniku, który już odłożyła dla pana. — Pan może się prędzej obejść jakich ośm dni bez swoich stu talarów, niż ja bez moich kilku groszy. — Proszę, oto pieniądze! Podaje mu rulon dukatów.

v. Tellheim. Werner!

Werner. Cóż? Czemuż się pan tak wpatrzył we mnie? Proszę wziąć, panie majorze!

v. Tellheim. Werner!

Werner. Co panu brakuje? Co tak pana gniewa?

v. Tellheim z goryczą, uderzając się w czoło, tupie nogą. Że — że tych czterysta talarów nie ma razem!

Werner. Więc, więc, panie majorze! Czyż mnie pan nie zrozumiał?

v. Tellheim. Właśnie dlatego, że cię nie zrozumiałem. Że też mi dziś najlepsi ludzie najbardziej dokuczają.

Werner. Co pan mówi?

v. Tellheim. To tylko w połowie ciebie dotyczy! Idź, Werner! Odtrącając rękę, którą mu Werner podaje dukaty.

Werner. Skoro się tego pozbędę!

v. Tellheim. Werner, a jeśli ja ci powiem, że Marloffowa u mnie dziś raniutko sama była?

Werner. Tak?

v. Tellheim. Że mi już nie nie jest dłużna?

Werner. Istotnie?

v. Tellheim. Że mi do ostatniego szeląga zapłaciła? Cóż ty na to?

Werner który się chwilę namyśla. Powiem, że skłamałem i że kłamstwo to łajdactwo, bo łatwo na niem przydybać.

v. Tellheim. I nie wstyd ci?

Werner. A ten, ten, który mię zmęsza do kłamstwa? Cóż z tym? Czyż i ten nie powinien się wstydić? Widzi pan, panie majorze, gdybym powiedział, że mnie pańskie postępowanie nie oburza, skłamałbym znowu, a nie chcę już kłamać.

v. Tellheim. Nie gniewaj się, Werner! Poznaję twoje serce i miłość twą ku mnie. Ale nie potrzebuję twoich pieniędzy.

Werner. Nie potrzebuje ich pan? Raczej sprzedawać, raczej zastawiać, raczej narażać się na obmowę ludzką?

v. Tellheim. Ludzie mogą wiedzieć, że już nie nie mam. Nie potrzeba się wydawać bogatszym, niż się jest.

Werner. A czemuż biedniejszym? — Mamy dotąd, dopóki nasz przyjaciel ma.

v. Tellheim. Nie wypada, abym był twoim dłużnikiem.

Werner. Nie wypada? Gdy pewnego gorącego dnia, w którym nam słońce i nieprzyjaciel srodze

dopiekali a pańskiego luzaka z zapasami nie było, przystąpił pan do mnie i powiedział: „Werner, masz co pić?“, a ja panu moją manierkę podałem, pan przyjął i pił, nieprawdaż? Czy to wypadło? — Na moje zbawienie, trochę zgniłej wody wówczas bardzo często więcej warte było, niż ta fraszka! Wyjmuje drugi worek, zawierający luidory i podaje mu obydwą. Weź pan, panie majorze! Przedstaw pan sobie, że to woda. Wszak i to Bóg stworzył dla wszystkich. —

v. Tellheim. Męczysz mię; wszak słyszysz, że nie chcę zostać twoim dłużnikiem.

Werner. Przedtem nie wypadło; teraz pan nie chce? Tak, to co innego. z gniewem. Pan nie chce być moim dłużnikiem? A jeżeli pan nim już jest, panie majorze? Czy pan nie nie dłużny człowiekowi, który raz podchwycił cios, który miał panu głowę rozplatać, innym razem zaś odciął od kadłuba ramię, które właśnie miało wypalić i kulą przeszyć pierś pańską? Cóż pan temu człowiekowi więcej może być winien? Czy może moja szyja mniej warta, niż mój woreczek? — Jeśli to ma być myśl znakomita, to — na moje zbawienie — jest też pod każdym względem płaska!

v. Tellheim. Komu to mówisz, Werner? Jesteśmy sami, Werner; mogę ci to więc powiedzieć; gdyby tu był kto trzeci, byłoby to czezą gadaniną. Z przyjemnością zeznaję, że ci dwukrotnie życie swe zawdzięczam. Ale, przyjacielu, czegoż

więcej brakło, jak tylko sposobności, bym ja był to samo uczynił dla ciebie? He!

Werner. Tylko sposobności! Któż o tem wątpił kiedy, panie majorze? Czyż nie widziałem ze sto razy, jak pan w największej ciźbie narażał swe życie za najprostszego żołnierza?

v. Tellheim. A więc?

Werner. Ale —

v. Tellheim. Czemuż mnie nie chcesz zrozumieć! Powiadam: Nie wypada, abym był twoim dłużnikiem, nie chcę być twoim dłużnikiem. Mianowicie, wobec stosunków, w jakich się obecnie znajduję.

Werner. Tak! Tak! Chce pan to zachować na lepsze czasy; chce pan u mnie pożyczyć pieniądze wtedy, gdy panu nie będą potrzebne, gdy pan je sam mieć będzie, gdy ja będę może bez grosza.

v. Tellheim. Nie należy pożyczać, gdy się nie wie, czy się będzie w stanie oddać.

Werner. Taki człowiek, jak pan, musi kiedyś mieć.

v. Tellheim. Wszak znasz świat! — Nigdy nie należy pożyczać od kogoś, który sam tych pieniędzy potrzebuje.

Werner. O tak, takim ja jestem. Pocóż mi ich? — Kto potrzebuje wachmistrza, daje mu na życie.

v. Tellheim. Potrzeba ci ich, by zostać czemś więcej niż wachmistrz — , potrzeba ci ich na to

byś mógł coś osiągnąć na drodze, na której ustać może najgodniejszy dla braku pieniędzy.

Werner. Zostać czemś więcej niż wachmistrzem? O tem ani myślę. Jestem dobrym wachmistrzem a byłbym lichym rotmistrzem a z pewnością najgorszym generałem. Doświadczenie tego uczy.

v. Tellheim. Nie róbże głupstw, bym o tobie źle nie sądził. Werner! Przykro mi było słyszeć, co mi Just o tobie opowiadał. Sprzedałeś swoją wioskę i znów chcesz bujać. — Nie doprowadzajże do tego, bym o tobie myślał, że nie tak bardzo lubisz rzemiosło wojenne, jak raczej, dzikie, zbyt swobodne życie, które na nieszczęście w ścisłym związku z niem pozostaje. Żołnierzem należy być dla swojej ojczyzny albo z miłości dla sprawy, o którą wre wojna. Bezcelowe wałęsanie się to tu, to tam przypomina rzeźnika, nie nadto!

Werner. Dobrze więc, panie majorze; usłucham pana. Pan wie lepiej, co przystoi. Zostanę przy panu. — Ale, kochany majorze, przyjm pan tymczasem moje pieniądze. Dziś jutro sprawa pańska się rozstrzygnie. Dostanie pan moc pieniędzy. Wtedy mi pan zwróci z procentem. Wszak tylko dla procentu to czynię.

v. Tellheim. Ani słowa o tem!

Werner. Dalibóg, czynię to tylko dla procentu! — Ilekroć się zastanawiałem nad sobą: Co zrobisz na stare lata, gdy cię na miazgę potłuką, gdy nic mieć nie będziesz? gdy ci tylko

kij żebraczy pozostanie? pomyślałem: Nie, nie będziesz żebrakiem; pójdziesz do majora Tellheima; ten się z tobą ostatnim groszem podzieli; ten cię do śmierci karmić będzie; u niego będziesz mógł umrzeć, jak uczciwemu żołnierzowi przystało.

v. Tellheim chwytając rękę Wenera. I nie myślisz już tak, kolego?

Werner. Nie, tak już nie myślę. Kto odemnie nic nie chce przyjąć, gdy jest w potrzebie a ja posiadam, ten z pewnością nic mi dać nie zechce, gdy ja będę w potrzebie a on będzie miał. — Dobrze już! Chce odejść.

v. Tellheim. Człowiecze, nie doprowadzaj mnie do szaleństwa. Dokąd idziesz? Zatrzymuje go. A jeśli ci powiem pod słowem honoru, że jeszcze mam pieniądze, jeśli słowem zaręcę, że ci oznajmię, gdy już mieć nie będę; że ty będziesz pierwszym i jedynym, u którego pożyczę: — jesteś już wobec tego zadowolony?

Werner. Czyż nie muszę? — Daj pan na to rękę, panie majorze.

v. Tellheim. Oto jest, Pawle! — A teraz dość o tem. Przyszedłem tu, by pomówić z pewną dziewczyną. —

SCENA VIII.

Franciszka wychodzi z pokoju panny. *v. Tellheim*, *Werner*.

Franciszka wychodząc. Jeszcze pan jest, panie wachmistrzu? — Spostrzegając *Tellheima*. I pan tu,

panie majorze? — W tej chwili służę. Wraca szybko do pokoju.

SCENA IX.

v. Tellheim, Paweł Werner.

v. *Tellheim*. To ona była! Ale widzę, że ją znasz, Werner?

Werner. Tak jest, znam tę kobietkę. —

v. *Tellheim*. Aha, o ile sobie przypominam, byłeś wraz ze mną na kwaterze zimowej w Turynгии?

Werner. Nie, wówczas byłem zajęty umundurowaniem w Lipsku.

v. *Tellheim*. Skąd ją więc znasz?

Werner. Nasza znajomość jeszcze młodziutka. Datuje się od dziś. Ale młoda znajomość jest ciepła.

v. *Tellheim*. Widziałeś już więc zapewne jej pannę także?

Werner. Jej państwem jest panna? Mówiła mi, że pan zna jej państwo.

v. *Tellheim*. Wszak słyszałeś, z Turynгии.

Werner. Czy ta panna jest młoda?

v. *Tellheim*. Tak.

Werner. Piękna?

v. *Tellheim*. Bardzo.

Werner. Bogata?

v. *Tellheim*. Bardzo.

Werner. Czy panu panna tak sprzyja jak ta dziewczyna? To byłoby wyborne!

v. *Tellheim*. Jakto?

SCENA X.

Franciszka znów wychodzi, z listem w ręku. v. Tellheim, Werner.

Franciszka. Panie majorze —

v. *Tellheim.* Kochana Franciszko, nie mogłem się jeszcze z tobą przywitać.

Franciszka. W myśli zapewne już to pan uczynił. Wiem, że pan mi dobrze życzy. Ja panu wzajemnie. Ale to wcale niegrzecznie, że pan tak martwi tych, którzy panu sprzyjają.

Werner do siebie. Ha, domyślam się już. Tak jest!

v. *Tellheim.* Mój los, Franciszko! — Oddałaś jej list?

Franciszka. Tak, a oto oddaję panu. Podaję mu list.

v. *Tellheim.* Odpowiedź?

Franciszka. Nie, pański własny list.

v. *Tellheim.* Co? Nie chce go czytać?

Franciszka. Chciała, ale — my nie umiemy dobrze czytać pisma.

v. *Tellheim.* Figlarka!

Franciszka. I sądzimy, że pisanie listów nie wynaleziono dla tych, którzy mogą ze sobą osobiście mówić, gdy tylko chcą.

v. *Tellheim.* Co za wybieg! Musi go czytać. — On zawiera moje usprawiedliwienie, — wszelkie powody i przyczyny —

Franciszka. Które panna chce osobiście od pana słyszeć, a nie czytać.

v. Tellheim. Odemnie osobiście słyszeć? Aby mię każde jej słowo, każdy gość mieszał; abym w każdym jej spojrzeniu odczuł cały ogrom straty?—

Franciszka. Bez litości! — Proszę! Daje mu list. Oczekuje pana o trzeciej. Wyjedzie, by obejrzeć miasto. Pan ma z nią jechać.

v. Tellheim. Ja?

Franciszka. A co od pana dostanę, jeśli wam obojgu samym dam jechać? Ja zostanę w domu.

v. Tellheim. Samym?

Franciszka. Ładnym, krytym powozem.

v. Tellheim. To niemożliwe!

Franciszka. Tak, tak. W powozie musi pan major usiedzieć i nie może zmykać. — Właśnie dlatego. — Dość, pan ma przyjść, panie majorze, punktualnie o trzeciej. — Więc? Wszak pan chciał ze mną na osobności pomówić. Cóż mi pan chciał powiedzieć? — A, prawda, nie jesteśmy sami. Patrzy na Wenera.

v. Tellheim. Owszem, Franciszko, jakgdybyśmy byli sami. Gdy jednak panna listu nie czytała, nie mam co mówić.

Franciszka. Więc jesteśmy tu tak, jakgdybyśmy byli sami? Pan nie ma przed panem wachmistrzem tajemnic?

v. Tellheim. Wcale nie.

Franciszka. Jednak, zdaje mi się, powinien pan mieć.

v. Tellheim. Jakieżto?

Werner. Dlaczego, kobietko?

Franciszka. Szczególnie tajemnicę pewnego rodzaju. Na wszystkich dwudziestu, panie wachmistrzu? Podnosząc obie ręce w górę z rozwartymi palcami.

Werner. St! St! Kobietko, kobietko!

v. Tellheim. Co to znaczy?

Franciszka. Husz jest na palcu, panie wachmistrzu jakgdyby prędko pierścionek włożyła.

v. Tellheim. Co ze sobą macie?

Werner. Kobietko, kobietko, wszak ona zrozumie żart?

v. Tellheim. Werner, zapomniałeś, co ci tyle razy mówiłem, że pod pewnym względem nie wolno żartować z kobietami?

Werner. Na moje zbawienie, musiałem zapomnieć! — Kobietko, proszę —

Franciszka. No, jeśli to był tylko żart; tym razem wybaczę mu.

v. Tellheim. Jeśli już koniecznie muszę przyjść, postaraj się przynajmniej, by panna przedtem jeszcze ten list czytała. To mi oszczędzi katusze, jakiebym znosił, gdybym musiał jeszcze raz myśleć, jeszcze raz mówić o tem, o czem tak chętnie chciałbym zapomnieć. Oddaj go jej. Gdy obraca list, by go jej podać, spostrzeżę, że jest otwarty. Ale, czy mnie oczy nie mylą? Franciszko, list jest przecież rozpieczętowany. —

Franciszka. Być może. Ogląda go. Istotnie, tak jest. Któż go mógł otworzyć? Ale, doprawdy,

nie czytałyśmy go, panie majorze, doprawdy nie. Nie chcemy go też czytać, ponieważ korespondent sam przyjdzie. Przyjdźże pan; i wie pan co, panie majorze, nie przychodź pan tak, jak teraz; w butach, nienfryzowany. Teraz da się to usprawiedliwić, pan się nas nie spodziewał. Przyjdź pan w trzewikach i każ się pan pięknie ufryzować. Tak pan zbyt marsowo, zbyt na Prusaka wygląda!

v. Tellheim. Dziękuję ci, Franciszko.

Franciszka. Tak pan wygląda, jakgdybyś wczoraj był w polu nocował.

v. Tellheim. Odgadłaś może.

Franciszka. I my się prędko ubierzemy i zjemy. Zaprosiłybyśmy pana na obiad, ale pańska obecność przeszkadzałaby nam w jedzeniu; a widzi pan, tak dalece zakochane nie jesteśmy, abyśmy nawet głodu nie uczuwały.

v. Tellheim. Idę już! Franciszko, przygotuj ją tymczasem, abym nie był godnym pogardy w jej ani we własnych oczach. — Chodź ze mną na obiad, Werner.

Werner. Tu, w tym domu? Nie mógłbym tu ani jednego kęsa przełknąć.

v. Tellheim. U mnie, w nowem mieszkaniu.

Werner. Tak, to chętnie pójdę. Chciałbym tylko jeszcze słówko z tą kobietką —

v. Tellheim. To mi się podoba! Odchodzi.

SCENA XI.

Paweł Werner, Franciszka.

Franciszka. I cóż, panie wachmistrzu? —*Werner.* Kobietko, czy, gdy ja wrócę, mam także być lepiej ubrany? •*Franciszka.* Niech on przyjdzie, jak mu się podoba, panie wachmistrzu; moje oczy nie przeciw niemu nie będą miały. Natomiast uszy moje będą się musiały mieć na baczności. — Dwadzieścia palców, na każdym pierścione! Ej, ej, panie wachmistrzu!*Werner.* Nie, kobietko, to właśnie chciałem jej jeszcze powiedzieć: ten żarcik mi się tylko wymknął! Niema tam słowa prawdy. Wystarczy przecież jeden pierścionek. Setki zaś razy słyszałem majora mawiającego: Łotrem jest żołnierz, który może zwieść dziewczynę! — Ja tak samo sądzę. Proszę temu wierzyć! — Muszę pójść za nim. Smacznego, kobietko! Odchodzi.*Franciszka.* Wzajemnie, panie wachmistrzu! Zdaje mi się, że ten mężczyzna mi się podoba! Gdy chce wejść do pokoju, wychodzi panna.

SCENA XII.

Panna, Franciszka.

Panna. Major już poszedł? Franciszko, zdaje mi się, że teraz mogłabym już o tyle zapanować nad sobą, by go zatrzymać.

Franciszka. Ja zaś chcę panią jeszcze bardziej uspokoić.

Panna. Tem lepiej! Jego list, o ten list. Każdy wiersz wskazywał uczciwego, szlachetnego męża. Każde wzbranianie się posiadania mnie dowodzi mi jego miłości. — Zapewne zauważył, że czytałyśmy list. — Mniejsza, byle tylko przyszedł. Wszak z pewnością przyjdzie? — Zdaje mi się, Franciszko, że jego obejście trochę za dumne. Albowiem szczęścia swego nie chce zawdzięczać nawet swej ukochanej jest dumą, dumą, nie do darowania! Gdy mi tej dumy będzie za wiele, Franciszko —

Franciszka. Wyrzeknie go się pani.

Panna. Ej, widzicie tu ją! Czy ci go może znowu żal? Nie, miła błaźnico, dla jednej przywary nie wyrzekamy się mężczyzny. Nie, ale przyszedł mi na myśl figiel; wymęczone go za tę dumę podobną dumą.

Franciszka. Widać, że pani bardzo spokojna, gdy znów figle w głowie.

Panna. Tak jest, w istocie; chodźmy. Dla ciebie też mam rolę. Wychodzą do pokoju panny.

Akt czwarty.

SCENA I.

Scena: pokój panny. Panna bogato, lecz gustownie ubrana.

Franciszka. Wstają od stołu, służący sprząta.

Franciszka. Musi pani być głodna, łaskawa panienko.

Panna. Tak sądziś, Franciszko? Raczej nie-głodna zasiadłam do stołu.

Franciszka. Powiedziałyśmy sobie, że przy obiedzie nawet nie wspomniemy o nim. Należało jednak przedsięwziąć sobie, żeby o nim nawet nie myśleć.

Panna. Rzeczywiście o niczem nie myślałam, jeno o nim.

Franciszka. Poznałam to. Nawiązywałam rozmowę o najrozmaitszych rzeczach a pani mi zawsze na wspak odpowiadała. Inny służący przynosi kawę. Oto napój, nastrajający do kaprysów. Luba, melancholijna kawa!

Panna. Do kaprysów? Mnie nie. Zastanawiam się tylko nad nauczka, jaką mu mam dać. Czy pojęłaś mię dokładnie, Franciszko?

Franciszka. Doskonale; byłoby jednak lepiej, gdyby nam tej roboty oszczędził.

Panna. Zobaczysz, że go znam na wylot. Ten, który ucieka odemnie, gdy jestem tak bogatą,

gotów o posiadanie mnie walczyć z całym światem, skoro usłyszy, że jestem nieszczęśliwa i opuszczona.

Franciszka bardzo poważnie. A coś podobnego zapewne musi ogromnie łechtać miłość własną.

Panna. Moralistko! Widzicie ją tu! Przedtem wymawiała mi próżność, teraz znów samolubstwo. — Dajmy temu pokój, Franciszko. Będziesz i ty sobie mogła ze swoim wachmistrzem uczynić, co zechcesz.

Franciszka. Ze swoim wachmistrzem?

Panna. Tak. Przeczając, potwierdzasz. Wprawdzie go jeszcze nie widziałam, ale z każdego słowa, które mi o nim mówiłaś, wróżę ci w nim twego przyszłego męża.

SCENA II.

Riccaut de la Marliniere, Panna, Franciszka.

Riccaut jeszcze w głębi sceny. Est-il permis, monsieur le major?

Franciszka. Co to? Czy to do nas? Idzie ku drzwiom.

Riccaut. Parbleu! Ja jestem newłasziwy — Mais non. — Ja ne jestem newłasziwy — C'est sa chambre —

Franciszka. Zapewne, panienko, sądzi ten pan, że major v. Tellheim jeszcze tu mieszka.

Riccaut. Jest tak! — Le major de Tellheim, juste, ma belle enfant, c'est lui que je cherche. Où est-il?

Franciszka. Już tu nie mieszka.

Riccaut. Comment? jeszcze przed dwadszesza sztery gosin tu lożir? I lożir dalej ne? Gsze lożir?

Panna przystępuje doń. Mój panie! —

Riccaut. Ah, madame, mademoiselle. Pani dobrozi, ja przeprasza —

Panna. Mój panie, pańska omyłka da się łatwo wytłómaczyć, a pańskie zdziwienie jest całkiem naturalne. Pan major był tak łaskaw i odstąpił mi swój pokój, jako obcej, która nie wiedziała, gdzie zamieszkać.

Riccaut. Ah voilà de ses politesses! C'est un très galant-homme, que ce major!

Panna. Ze wstydem jednak muszę wyznać, że nie wiem, dokąd się wyprowadził.

Riccaut. Pani dobrozi ne wi? C'est dommage; j'en suis fâché.

Panna. Wprawdzie powinnam była się o tem wywiadywać. Jego przyjaciele będą go tu zapewne szukali.

Riccaut. Ja barzo z jego przyjaszel, pani dobrozi.

Panna. A ty nie wiesz, Franciszko?

Franciszka. Nie, panienko.

Riccaut. Mialim jemu mówisz barzo koneszni. Ja przynosi jedna nouvelle, z która on wesołi benzi.

Panna. Tembardziej żałuję. Spodziewam się z nim jednak widzieć niebawem. Jeśli obojętnem

jest, z czyich ust ma tę wiadomość usłyszeć, prosiłabym, mój panie —

Riccaut. Ja rozumiem. — Mademoiselle parle français? Mais sans doute; telle que je la vois! — La demande était bien impolie; vous me pardonnerez, mademoiselle.

Panna. Mój panie —

Riccaut. Ne? Ne mówi francuski, pani dobrozi?

Panna. Panie, we Francyi chętnie mówiłabym tym językiem. Ale dlaczegoż tutaj? Widzę przecież, że mię pan rozumie. A ja, mój panie, z pewnością pana zrozumiem; mów pan jak się panu podoba.

Riccaut. Dobrze, dobrze! Ja potrafi na mowy pani explicier. — Sachez donc, mademoiselle; łaskawa pani wi, że ja przyszet od obiat u te minister, — minister od — minister od — jak naziwa minister tu od — długa ulica? na szeroka plas?

Panna. Nikogo tu jeszcze nie znam.

Riccaut. No, minister od departman wojna. Ja tam obiad jesz; — ja jesz à l'ordinaire u jemu, — a tu przyszet mowa na major Tellheim; et le ministre m'a dit en confidence, car son excellence est de mes amis, et il n'y a point de mystères entre nous — jego excellence, chce mówisz mi powieżał, że spraw od nasz major jest as point do kontsa i dobre kontsa. On zrobił jeden rapport do krol, a krol na to resolwał,

tout-à-fait en faveur du major. — Monsieur, m'a dit son excellence, vous comprenez bien, que tout dépend de la manière, dont on fait envisager les choses au Roi, et vous me connaissez. Cela fait un très-joli garçon que ce Tellheim, et ne sais-je pas que vous l'aimez? Les amis de mes amis sont aussi les miens. Il conte un peu cher au Roi ce Tellheim, mais est-ce que l'on sert les rois pour rien? Il faut s'entr'aider en ce monde; et quand il s'agit de pertes, que ce soit le Roi, qui en fasse, et non pas un honnête-homme de nous autres. Voilà le principe, dont je ne me dépars jamais. — Co pani dobrozi na to? Ne prawda, to dobry szłownik? Ah que son excellence a le coeur bien placé! Zapewnił mi au reste, jak major jesze ne dostał une lettre de la main — krolewska list, że dziśz infailliblement dostanie.

Panna. Zapewne, mój panie, wiadomość ta sprawi majorowi von Tellheim ogromną przyjemność. Pragnęłabym jedynie, bym mogła mu równocześnie wymienić nazwisko przyjaciela, który tak serdecznie się cieszy jego szczęściem. —

Riccaut. Moje nazwisko życzy pani dobrozi? — Vous voyez en moi — pani dobrozi wiżi tu le Chevalier Riccaut de la Marliniere, Seigneur de Pret-au-val, de la branche de Prens'd'or — Pani dobrozi stei zdumiona, że słyszy mnie z taka wielka, wielka famil, qui est véritable-

ment du sang royal. — Il faut le dire: je suis sans doute le cadet le plus aventureux, que la maison a jamais eu. Ja służy od moi jedenasty rok. Przez jedna affaire d'honneur ja muszał uczekacz. Potem ja służył jego szwiontobliwosz papy, republik San Marino, Korona polska i Generalpaństwa, aż ja tu został szongnienty. Ah, mademoiselle, que je voudrais n'avoir jamais vu ce pays-là! Gdyby mię zostawili w służba od Generalpaństwa, muszałby najmniej bycz pułkownik. A tak tu wczonż na wieki capitaine został, a teraz już reformowany capitaine —

Panna. To ogromne nieszczęście.

Riccaut. Oui, mademoiselle, me voilà reformé, et par-là mis sur le pavé!

Panna. Niezmiernie pana żałuję.

Riccaut. Vous êtes bien bonne, mademoiselle. — Ne, tu ne znajon zasługa, monsz jak ja, tak reformir! Monsz, który sze w ten służba rouinir! — Ja dołożył na to, wiensej jak dwadszesza tyszonz livres. I co ja mam? Tranchons le mot: je n'ai pas le sou, et me voilà exactement vis-à-vis du rien.

Panna. Ogromnie mi przykro.

Riccaut. Vous êtes bien bonne, Mademoiselle. Ale jak mówion: każdy neszensze szongnie z so-bon swój brat: qu'un malheur ne vient jamais seul, tak ze mno arrivir. Co innego jeden hon-nête-homme od moja extraction może miecz za

ressource, jak gra? I ja zawsze grał szensze, jak ja ne poszebował szensze. Teraz jak jabym go poszebował, mademoiselle, je joue avec un guignon, qui surpasse tout croyance. Od pientnasze dzeń, co dzeń oni mi rozbili. Jesze wszoraj mie rozbili szy razy. Je sais bien, qu'il y avait quelque chose de plus que le jeu. Car parmi mes pontes se trouvaient certaines dames.—Ja wiensej ne mówisz. Szeba być galant przesiw damy. Oni mi dzisz invitir mie dacz revanche, mais — vous m'entendez, mademoiselle. — Szeba pirw wieżecz, skond życz, nim można skond miecz gracz.

Panna. Nie przypuszczam, mój panie —

Riccaut. Vous êtes bien bonne, mademoiselle—

Panna woła Franciszkę na stronę. Franciszko, żał mi tego człowieka. Czy nie weźmie mi on za złe, jeśli mu coś dam?

Franciszka. Ten nie wygląda na takiego.

Panna. Dobrze! — Mój panie, — mówi pan, że pan gra, że pan bank trzyma; naturalnie w towarzystwach, gdzie można dużo wygrać. Muszę panu przyznać, że i ja — bardzo lubię grę.

Riccaut. Tant mieux, mademoiselle, tant mieux! Tous les gens d'esprit aiment le jeu à la fureur.

Panna. Że bardzo lubię wygrywać; bardzo chętnie stawiam moje pieniądze na kartę z człowiekiem, który — umie grać. — Czy nie przyjąłby pan mnie, mój panie, do spółki? nie zezwo-

lilby pan, bym przystąpiła z udziałem do pańskiego banku?

Riccaut. Comment, mademoiselle, vous voulez être de moitié avec moi? De tout mon coeur.

Panna. Na początek tylko z drobnostką. —
Idzie i wyjmuje pieniądze ze szkatułki.

Riccaut. Ah, mademoiselle, que vous êtes charmante! —

Panna. Oto, co niedawno wygrałam, zaledwie dziesięć pistolów, — wstyd mi wprowadzić, że tak mało —

Riccaut. Donnez toujours, mademoiselle, donnez. Przyjmuje.

Panna. Pański bank zapewne znaczny....

Riccaut. Tak, bardzo znaczny. Żeszysz pistol? Pani dobrożi benże za to w moja bank interessir na jedna szesza szensz, pour le tiers. Wprawdzie na jedna szesza szensz mają być cosz wien-sej. Ale z żadna dama szeba bracz niedokładne. Gratulujen szecie liaison z pani dobrożi, et de ce moment je recommence à bien augurer de ma fortune.

Panna. Nie będę jednak obecną przy grze.

Riccaut. Na co pani dobrożi ma przytem być. My bardzo uszszywy luże.

Panna. Jeśli nam się poszczęści, mój panie, przyniesiesz mi pan zapewne moją część. W przeciwnym razie —

Riccaut. Przyjdem po rekruty. Prawda?

Panna. Rekruci mogą się czasem nie stawić. Bronże pan dobrze naszych pieniędzy, panie.

Riccaut. Za kogo mie pani dobrożi wiżi? Za symbał, za głupi diable?

Panna. Przepraszam —

Riccaut. Je suis de bons, mademoiselle. Savez-vous ce que cela veut dire? Ja jest od' nau-szony —

Panna. Wszak pan nie —

Riccaut. Je sais monter un coup —

Panna zdziwiona. Czyżby pan?

Riccaut. Je file la carte avec une adresse.

Panna. Przenigdy!

Riccaut. Je fais sauter le coupe avec une dextérité —

Panna. Mój panie, wszak pan nie —

Riccaut. Co ne? Pani dobrożi, co ne? Don-nez-moi un pigeonneau à plumer, et —

Panna. Fałszywie grać? oszukiwać?

Riccaut. Comment, mademoiselle? Vous appelez cela oszukiwasz? Corriger la fortune, l'enchaîner sous ses doigts, être sûr de son fait, to u was nazywa oszukiwasz? Oszukiwasz! O, jaki wasz mowa bidny mowa, nedelikatny mowa!

Panna. Nie, mój panie, jeśli pan tak sądzi —

Riccaut. Laissez-moi faire, mademoiselle, i bonsz pani spokojna. Co pani obchoży, jak gram? Doszysz jutro mie pani wiżi nazad ze sto pistol albo już nie wiżi mie wiensy. Votre très-humble, mademoiselle, votre très humble. Spiesznie odchodzi.

Panna patrząc za nim ze zdziwieniem i gniewem. To drugie pragnę, mój panie, to drugie!

SCENA III.

Panna, Franciszka.

Franciszka z goryczą. Cóż mogę na to powiedzieć? O, ładnie! o ładnie!

Panna. Wyśmiewaj mię; zostępuję na to. Po krótkim namyśle spokojniej. Nie szydź, Franciszko, nie zasługuję na to.

Franciszka. Wyśmienie; uczyniła pani coś cudownego; łotra pani wsparła. —

Panna. W tej myśli, że pomagam nieszczęśliwemu.

Franciszka. A to najciekawsze, że ten drab panią ma za równą sobie. O, muszę go dogonić, muszę od niego odebrać pieniądze. Chce odejść.

Panna. Franciszko, kawa wystygnie, nalewaj.

Franciszka. Musi oddać; pani inaczej się rozmyśliła; pani nie chce z nim grać. Dziesięć pistolów! Wszak pani słyszała, że to żebrak! Panna tymczasem sama nalewa. Któżby tyle dał żebrakowi? I starać się jeszcze zaoszczędzić mu poniżającego uczucia, że wyżebrał. Żebrak nie ocenia należycie wspaniałomyślności litościwego, który z wrodzonego uczucia delikatności nie traktuje go jako żebraka. Niechże pani teraz ma za swoje, jeśli jałmużnę pani za co innego będzie uważał. Panna podaje jej filiżankę. Dość już jestem wzburzona; nie

chcę pić. Panna odsuwa filiżankę. „Parblen, pani dobrożi, tu ne znajon zasługa.“ Uduje Francuza. Pewnie, że nie, gdy takich łotrów katowi nie oddają.

Panna chłodno, zamyślona, pijąc. Dziewczyno, tak dobrze się poznajesz na dobrych ludziach; kiedyż się jednak nauczysz znosić złych? — Wszak i oni są ludźmi. Często nie są nawet tak bardzo źli, jak się wydają. Trzeba tylko umieć odkryć ich zalety. — Przedstawiam sobie, że ten Francuz jest tylko próżny. Z głupiej próżności udaje oszusta w grze; nie chce być do niczego zobowiązanym; chce sobie zaoszczędzić podziękowanie. Kto wie, może poszedł zapłacić swoje drobne długi, a z reszty, która mu pozostanie, będzie żył cicho i oszczędnie, na jak długo mu to starczy, nie myśląc nawet o grze. Jeśli tak jest, kochana Franiu, może przyjsć po rekrutów, kiedy tylko zechce. Daje jej filiżankę. Odstaw to! — Ale, powiedz mi, wszak Tellheim powinien już tu być?

Franciszka. Nie, łaskawa panienko, ani jednego ani drugiego nie umiem; ani nie potrafię w złym człowieku odkryć zalet, ani w dobrym przywar.

Panna. Wszakże przyjdzie na pewno? —

Franciszka. Powinienby nie przyjsć! Dostrzegłaś w nim trochę dumy, w nim, najgodniejszym mężu, i za to chce go pani tak okrutnie dręczyć?

Panna. Znowu z tem wyjeżdżasz? Milcz, tak

być musi. Jeśli mię tej uciechy pozbawisz, jeśli wszystkiego nie powiesz i nie uczynisz, jak się umówiliśmy — — Zostawię cię samą z nim; a potem — — Zdaje się, że już idzie.

SCENA IV.

Paweł Werner wchodzi sztywnie, jakby w służbie.

Panna, Franciszka.

Franciszka. Nie, tylko jego kochany wachmistrz.

Panna. Kochany wachmistrz? Do kogo odnosi się to słówko „kochany.“

Franciszka. Jaśnie pani, proszę mi tego pana nie zbijać z tropu. — Do usług, panie wachmistrzu, co pan powie nowego?

Werner przystępuje do panny, nie zwracając uwagi na Franciszkę. Major von Tellheim składa przeze mnie, wachmistrza Wenera jaśnie pani von Barnhelm swoje najwyższe uszanowanie i donosi, że wkrótce tu będzie.

Panna. A gdzież on teraz?

Werner. Jaśnie pani wybaczy; jeszcze przed uderzeniem trzeciej godziny wyszliśmy z kwatery; po drodze przystąpił doń kasyer wojenny, a że gadaniu z tymi panami niema końca, dał mi znak, bym jaśnie pani ten wypadek zaraportował.

Panna. Bardzo dobrze. Pragnę tylko, by kasyer wojenny przyniósł majorowi przyjemną wiadomość.

Werner. Ci panowie oficerom nie często takie wieści przynoszą. Co jaśnie pani rozkaże? Chce odejść.

Franciszka. Dokąd znowu, panie wachmistrzu? Czy nie mamy ze sobą pogawędzić?

Werner do Franciszki po cichu i poważnie. Nie tu, kobietko. To byłoby przeciw uszanowaniu, przeciw subordynacyi. — Jaśnie pani —

Panna. Dziękuję za jego trudy, panie wachmistrzu. — Było mi bardzo przyjemnie poznać go. Franciszka mi o nim dużo dobrego mówiła. *Werner* kłania się sztywnie i odchodzi.

SCENA V.

Panna, Franciszka.

Panna. To jest twój wachmistrz, Franciszkoj

Franciszka. Z powodu szyderczego tonu ni? myślę zaznaczyć, że to „twój“ jest niewłaściwie użyte. — — Tak, łaskawa panienko, to jest mój wachmistrz. Wydaje się pani zapewne za sztywny, jakby drewniany. I mnie się teraz takim wydał. Jeśli się nie mylę, sądził, że przed panią musi stać, jakby podczas parady. A żołnierze podczas parady wyglądają jak lalki toczone, nie jak mężczyźni. Trzeba go widzieć i słyszeć, gdy jest samym sobą.

Panna. Będę się starała.

Franciszka. On musi jeszcze być w sali. Czy mogę pójść doń na gawędkę?

Panna. Przykro mi, że ci muszę odmówić

tej przyjemności. Musisz tu zostać, Franciszko. Musisz być przy naszej rozmowie. Jeszcze sobie coś przypomniałam. Zdejmuje swój pierścionek z palca. Masz tu mój pierścionek, schowaj go, a mnie daj natomiast pierścionek majora.

Franciszka. Na co?

Panna. Podczas gdy Franciszka przynosi tamten pierścionek. Sama nie wiem na co, ale zdaje mi się, przeczuwam, że mi się to przydać może. — Ktoś puka! Wkłada go. Idzie!

SCENA VI.

v. *Tellheim* w tamsamem ubraniu, zresztą jednak stosownie do żądania Franciszki. *Panna, Franciszka.*

v. *Tellheim.* Łaskawa pani raczy uwzględnić moje spóźnienie.

Panna. Tak bardzo po wojskowemu tego nie bierzemy. Dobrze, żeś pan przyszedł. Oczekiwanie przyjemności jest także przyjemnością. — I co? Patrząc mu z uśmiechem w twarz. Kochany *Tellheimie*, nie byliśmy przedtem dziećmi?

v. *Tellheim.* Tak jest, dziećmi, łaskawa pani; dziećmi, które się opierają zamiast powolnie słuchać.

Panna. Kochany majorze, wyjedziemy, trochę zwiedzić miasto, — a następnie na spotkanie mego wujaszka.

v. *Tellheim.* Jakto?

Panna. Widzi pan, o najważniejszej sprawie

nie mogliśmy jeszcze mówić. Tak, jeszcze dziś tu przybędzie. Wypadek temu winien, że przyjechałam tu o dzień przed nim.

v. Tellheim. Hrabia von Bruchsal? Już wrócił?

Panna. Wicher wojenny zapędził go do Włoch; pokój znów go tu sprowadził. — Proszę się tem nie kłopotać, Tellheim. Wszak jeszcze przedtem usunęliśmy największą przeszkodę, jaka stała na drodze naszego połączenia z jego strony.

v. Tellheim. Naszego połączenia?

Panna. On jest pańskim przyjacielem. Od zbyt wielu zbyt wiele dobrego o panu słyszał, by mógł panu nie sprzyjać. Koniecznie pragnie osobiście poznać męża, który wybrał jedyną jego dziedziczkę. Przyjeżdża, by jako wuj, jako opiekun, jako ojciec oddać mię panu.

v. Tellheim. Ah, pani, czemu pani listu mego nie czytała. Czemu go pani nie chciała czytać?

Panna. Listu? Tak jest, przypominam sobie, że mi pan przysłał list. Jakżeto było z tym listem, Franciszko? Czytałyśmy go, czy nie? Cóż mi pan pisał, kochany Tellheim?

v. Tellheim. Jedynie to, co mi honor nakazuje.

Panna. To znaczy, nie porzucać uczciwej dziewczyny, która pana kocha. Rozumie się, że tak honor nakazuje. Naturalnie, powinnam była czytać list. Słyszę jednak to, czego nie czytałam.

v. Tellheim. Tak, powinna to pani słyszeć —

Panna. Nie, nie potrzebuję tego nawet słyszeć. To się samo przez się rozumie. Czyżby pan mógł być tak strasznie niedobrym i nie chciać mnie teraz? Czy pan wie, że byłabym na całe życie shańbiona? Moje rodaczki wytykałyby mię palcami — „Oto jest ta — mówiłyby — oto jest ta panna von Barnhelm, która w siebie wma-
wiała, że będzie żoną dzielnego Tellheima, dlatego, że jest bogata; jakoby dzielnych mężów kupić można za pieniądze!” Tak, bo wszystkie moje rodaczki mi zazdroszczą. Nie mogą zaprzeczyć, że jestem majątną, nie chcą jednak o tem wiedzieć, że jestem zresztą dość dobrą dziewczyną, godną dobrego męża. Nieprawdaż, Tellheim?

v. Tellheim. Tak, tak, łaskawa pani, znam pod tym względem rodaczki pani. Ogromnie pani będą zazdrościły odprawionego, na czei ukróconego oficera, kalekę i żebraka.

Panna. A tem wszystkiem pan masz być? Jeśli się nie mylę, słyszałam to już dziś przedpołudniem. To dobre i złe zarazem. Musimy jednak rzecz bliżej wyjaśnić. — Odprawiono pana? Tak pan mówisz. Sądziłam, że pułk pański tylko zwinięto i wcielono w inne. Jakże to się stało, że tak zasłużonego męża jak pan nie zatrzymano?

v. Tellheim. Stało się, jak się stać musiało. Możni się przekonali, że żołnierz z zamięłowania dla nich bardzo mało, z obowiązku nie wiele więcej czyni, ale wszystko dla własnego honoru.

Cóż mu więc oni, wychodząc z tej zasady, mogą być winni! Skutkiem pokoju wielu mnie podobnych stało im się zbędnymi a zresztą koniecznie nigdy nikogo nie potrzebują.

Panna. Mówisz pan, jak mówić powinien mąż, który wzajemnie bez tych możnych obejść się może. Teraz zaś najłatwiej. Jestem tym możnym bardzo wdzięczna, że się zrzekli swoich praw do męża, którego tylko niechętnie byłabym z nimi dzieliła. Ja jestem pańską władczynią, Tellheim, innego pana panu nie potrzeba. Odprawiono pana! O takim szczęściu ani nie marzyłam! Lecz to jeszcze nie wszystko, że pana odprawiono, pan jeszcze nieszczęśliwszy. Czemżeto pan jeszcze jesteś? Kaleką, mówiłeś pan? No, ogląda go od stóp do głowy ten kaleka jeszcze dość zdrowo i prosto się trzyma; zdaje się, że stosunkowo jest zdrów i silny. — Kochany Tellheim, jeśli pan z uwagi na swe kalectwo zamierzasz puścić się na żeby, mogę panu śmiało wróżyć, że nigdzie pan nic nie wskórasz; chyba przed drzwiami tak dobrych dziewcząt, jak ja.

v. Tellheim. Teraz słyszę tylko swawolne dziewczę, kochana Minno.

Panna. Ja zaś w tej naganie słyszę tylko: „Kochana Minno.“ Nie będę już swawolną. Przypominam sobie bowiem, że pan w istocie trochę kaleką. Strzał ubezwładnił pańskie prawe ramię. Zważywszy jednak wszystko, to i to nie tak złe. Tem pewniejszą jestem, że mnie pan bić nie będziesz.

v. Tellheim. Pani!

Panna. Chcesz pan powiedzieć: Za to pan mniej bezpieczny przedemną. No, no, kochany Tellheim, spodziewam się, że pan na to nie zasłużysz.

v. Tellheim. Pani chcesz się śmiać; żałuję tylko, że i ja śmiać się nie mogę.

Panna. Czemuż nie? Czemuż się panu śmiech nie podoba? Czyż nie można się śmiać a równocześnie być poważnym? Kochany majorze, śmiech nie działa tak ujemnie na rozsądek jak gniew. Dowód jasny, jak słońce. Pańska śmiejąca się przyjaciółka ocenia pańskie położenie daleko trafniej, niż pan sam. Uważasz się pan za ukróconego na czci, ponieważ pana odprawiono; z powodu strzału w ramię masz się pan za kalekę. Czy to tylko prawda? Czy to nie przesada? Czyż ja temu winna, że przesada śmiech wywołuje? Założyłabym się, że gdybym przesłuchiła pańskiego żebraka, to i ten nie ostałby się. Utraciłeś pan raz, dwa razy, trzy razy całe swe uzbrojenie; ten lub ów bankier zbankrutował; nie spodziewasz się pan zwrotu tej lub owej zaliczki, udzielonej przez pana w czasie służby; ale czyż pan dlatego żebrakiem? Jeśli już pan nawet nic nie ma nad to, co wuj mój dla pana wiezie —

v. Tellheim. Wuj, łaskawa pani, nic mi nie przywiezie.

Panna. Nie, tylko dwa tysiące pistolów, które pan wspomniałomyślnie pożyczył naszym stanom.

v. Tellheim. Gdybyś pani list mój przeczytała, łaskawa pani.

Panna. Więc tak, czytałam go. Jest jednak dla mnie zagadką, co pan w tej sprawie pisze. Wszak nieprawdopodobna, aby pański szlachetny czyn chciano poczytać za zbrodnię. Proszę mi to wyjaśnić, panie majorze. —

v. Tellheim. Przypominasz sobie pani zapewne, że otrzymałem rozkaz użycia najsurowszych środków przy ściąganiu kontrybucyi w gotówce z urzędów tamtejszych. Chciałem uniknąć tej surowości i zaliczyłem brakującą sumę z własnego.

Panna. Doskonale sobie to przypominam. Pokochałam pana dla tego czynu, jakkolwiek pana wówczas nie widziałam.

v. Tellheim. Stany dały mi wtedy swój weksel; chciałem, aby go przy podpisaniu pokoju wciągnięto w listę długów mających się zatwierdzić. Weksel uznano ważnym, mnie jednak zaprzeczono prawo własności do niego. Wykrzywiano szydlerczo usta, gdy zapewniałem, że wartość w gotówce wypłaciłem. Uznano, że mię tym wekslem przekupiono, że on jest gratyfikacją stanów za to, że tak szybko się zgodziłem na najniższą sumę, jaką byłem upoważniony się zadowolić jedynie na wypadek ostatecznej nędzy. Tak tedy weksel ten nie znajduje się już w moim ręku, a gdy zostanie zapłaconym, to z pewnością nie mnie. Dlatego się uważam za ukróconego na czci, nie

zaś z powodu dymisyi, którejbym się sam był domagał. — Spoważniała pani? Czemuż pani się nie śmieje? Ha, ha, ha! Wszak ja się śmieję.

Panna. O, stłum pan ten śmiech, Tellheim! Zaklinam pana! Jestto okropny śmiech mizantropa. Nie, pan nie jest człowiekiem, któryby dla przykrych następstw żałował spełnienia dobrego uczynku. Nie, te przykre następstwa nie mogą być trwałe! Prawda musi wyjść na jaw. Świadectwo mojego wuju, naszych stanów —

v. Tellheim. Paninego wuja! Waszych urzędów! Ha, ha, ha!

Panna. Pański śmiech mię zabija! Jeśli pan wierzy w cnotę i opatrność, Tellheim, nie śmieję się pan tak! Nie słyszałam przekleństw okropniejszych, niż śmiech pański. — Przypuśćmy najgorsze! Jeśli tu się na panu nie poznają, u nas pana należycie oceniają. Nie, my nie możemy, nie potrafimy nie poznać się na panu. A jeśli stany nasze mają choć trochę poczucia godności, wiem, co uczynią. Ale ja na tem się nie znam; wreszcie, na cóż się to zdało? Przedstaw pan sobie, panie Tellheim, że pan te dwa tysiące pistolów przegrał pewnej hulaszczej nocy. Król był dla pana nieszczęsną kartą; dama wskazując siebie będzie pomyślniejszą. Wierz mi pan, opatrność nigdy nie dopuści szkody uczciwego, częstokroć z góry już temu zapobiega. Czynem, który pana miał pozbawić dwu tysięcy pistolów, pozyskałeś pan mnie.

Gdyby nie to, nie byłabym pałała żądzą poznania pana. Wszak wiadomo panu, że bez zaproszenia znalazłam się w towarzystwie, w którym się spodziewałam pana zastać. Przyszedłam jedynie dla pana. Przyszedłam z silnem postanowieniem pokochania pana, — już pana kochałam! — z silnem postanowieniem posiadania pana, chociażbyś nawet był tak czarny i szkaradny, jak Otello. Nie jesteś pan tak czarny ani tak szkaradny, nie będziesz pan też tak zazdrosny. Ale Tellheim, Tellheim, jednak pan pod wielu względami doń podobny! O, dzicy, nieugięci mężowie, co szklanny swój wzrok wtapiają zawsze w widmo honoru! nieczuli na wszelkie inne uczucie! — Tu zwróć oko! na mnie, Tellheim! On zadumany, nieruchomy, osłupiały wzrok w jeden punkt skierował. O czem pan myślisz? Nie słuchasz mnie pan?

v. Tellheim roztagoniony. O tak! Ale powiedz mi pani, jakim sposobem dostał się murzyn do służby weneckiej. Czy ten murzyn nie miał ojczyzny? Czemu wynajął obcemu państwu swe ramię i krew swoją? —

Panna przestraszona. Co pan mówisz, Tellheim? — Czas ruszyć, — chodź pan! Biorąc go za rękę. Franciszko, kaź zajechać.

v. Tellheim wyrывa się z rąk panny i idzie za Franciszką. Nie, Franciszko, nie mogę mieć zaszczytu towarzyszenia panience. — Pani, proszę mnie przynajmniej dziś jeszcze nie pozabawiać

zdrowego rozumu i pozwól mi odejść. Jestem blizki obłądu. Opieram się, o ile mogę. Ponieważ jednak władam jeszcze rozumem, posłuchaj pani, co mocno postanowiłem, od czego mnie nic w świecie odwieść ~~nie~~ zdoła. — Jeśli w tej grze niema już dla mnie szczęśliwego rzutu, jeśli się karta gruntownie nie zmieni, jeśli —

Panna. Muszę panu przerwać, panie majorze. Franciszko, to trzeba było zaraz powiedzieć. Czemu mi nie przypomniałaś? Rozmowa nasza byłaby wcale innym torem poszła, Tellheim, gdybym była zaczęła od dobrej wiadomości, którą panu dopiero co kawaler Riccaut de la Marliniere chciał zakomunikować.

v. Tellheim. Kawaler de la Marliniere? Któż to?

Franciszka. Zdaje się, dość dobry człowiek, panie majorze, tylko że —

Panna. Cicho bądź, Franciszko! — Również dymisyonowany oficer, który ze służby holenderskiej —

v. Tellheim. Ha! Porucznik Riccaut!

Panna. Zapewniał, że jest pańskim przyjacielem.

v. Tellheim. Ja zaś zapewniam, że jego przyjacielem nie jestem.

Panna. I że mu, nie wiem który minister w tajemnicy powiedział, że pańska sprawa wkrótce bardzo pomyślnie dla pana się zakończy. Miano już do pana wysłać odręczne pismo królewskie,

v. Tellheim. Jakim sposobem mógł się Riccaut znaleźć w towarzystwie ministra! Coś wprawdzie musiano zrobić w mojej sprawie. Teraz właśnie oświadczył mi bowiem kasyer wojenny, że król zniósł wszelkie, skierowane przeciwko mnie zarzuty i że mogę odebrać dane przezemnie oświadczenie na piśmie, że nie pierwiej stąd odjadę, aż mnie nie uznają zupełnie niewinnym. Ale na tem się też skończy. Zechcą się mnie pozbyć. Mylą się jednak; nie pójdę stąd. Raczej padnę ofiarą najskrajniejszej nędzy w oczach oszczerców. —

Panna. Uparty człecze!

v. Tellheim. Nie potrzeba mi łaski, żądam sprawiedliwości. Mój honor —

Panna. Honor takiego męża, jakim pan jesteś —

v. Tellheim gorączkowo. Nie, moja pani, o wszystkim potrafisz pani wydać sąd doskonały, tylko nie o tem. Honor nie jest głosem naszego sumienia ani świadectwem nielicznej garstki rzetelnych. —

Panna. Nie, nie, wiem to dobrze. — Honor jestto — honor.

v. Tellheim. Otóż, moja pani, — nie dałaś mi pani skończyć. — Chciałem powiedzieć: Wobec tego, że własność moją w tak haniebnym sposobie odbierają, wobec tego, że honor mój nie otrzymał zupełnego zadośćuczynienia, wobec tego, pani, nie mogę ja do pani należeć. Albowiem w oczach świata nie jestem tego godzien. Panna von Barnhelm zasługuje na męża nieposzlakowa-

nego. Tylko nikczemna miłość nie waha się narażać swego przedmiotu na wzgardę. Nikczemnym jest mężczyzna, któremu nie wstyd, że całe swe szczęście zawdzięcza kobiecie, której ślepa tkliwość —

Panna. Czy pan tak na seryo myślisz, panie majorze? — Odwraca się nagle od niego. Franciszko!

v. Tellheim. Proszę się nie gniewać, pani —

Panna na stronie do Franciszki. Teraz czas! Jak mi radzisz, Franciszko?

Franciszka. Nic nie radzę. Ale on rzeczywiście nadto broi. —

v. Tellheim który im przerywa. Pani się gniewasz?

Panna szyderczo. Ja? Wcale nie.

v. Tellheim. Gdybym panią mniej kochał, —

Pannu dalej szyderczo. O pewnie, to byłoby mojem nieszczęściem! — I widzi pan, panie majorze, ja pańskiego nieszczęścia też nie chcę. — Należy kochać bezinteresownie. Bardzo dobrze się stało, że nie byłam bardziej szczerą. Litość pańska byłaby mi może użyteczną, czego miłość pańska mi odmówiła. — Ściąga pierścionek z palca.

v. Tellheim. Co pani przez to rozumiesz?

Panna. Nie, nie powinniśmy się wzajem uszczęśliwiać ani też unieszczęśliwiać! Domaga się tego prawdziwa miłość. Wierzę panu, panie majorze; pan zaś jesteś nadto honorowym, by nie pojmować miłości.

v. Tellheim. Czy to drwiny, pani?

Panna. Oto zwracam panu pierścień, którym

mi pan wierność ślubowałeś. Podaje mu pierścioneż.
Przepadło! Jakobyśmy się nigdy nie byli znali.

v. Tellheim. Co słyszę?

Panna. Pana to dziwi? Weź pan, mój panie! — Wszak pan nie udawałeś?

v. Tellheim przyjmując pierścień z jej ręki. Boże tak Minna mówi! —

Panna. Pan moim nie może być ze względu na jedno, ja zaś pańską być nie mogę ze względu na wszystko. Pańskie nieszczęście jest prawdopodobne, moje jest pewne. — Bądź pan zdrow! Chce odejść.

v. Tellheim. Dokąd, najdroższa Minno? —

Panna. Mój panie, ta poufałość mię obraża.

v. Tellheim. Co się pani stało? Dokąd?

Panna. Puść mię pan. — Chcę iży swe ukryć przed panem. Zdrajco! Odechodzi.

SCENA VII.

von Tellheim, Franciszka.

v. Tellheim. Łzy? Ja mam ją puścić? Chce iść za nią.

Franciszka która go wstrzymuje. Ależ, panie majorze! Wszak pan nie pójdzie za nią do sypialni?

v. Tellheim. Jej nieszczęście? Czyż nie mówiła o nieszczęściu?

Franciszka. Naturalnie; nieszczęście, bo traci pana, gdy —

v. Tellheim. Gdy? Gdy co? Po za tem się coś ukrywa. Co, Franciszko, powiedz, mów —

Franciszka. Gdy ona, chciałam powiedzieć, — dla pana taką ofiarę poniosła.

v. Tellheim. Dla mnie? Ofiarę?

Franciszka. Słuchaj pan tedy. To jest — otóż jest dla pana bardzo dobrze, że się pan jej tak łatwo pozbył. — Dlaczegoż panu tego nie mam powiedzieć? To i tak nie może pozostać tajemnicą. — Uciekłyśmy! — Hrabia von Bruchsall wydziedziczył panienkę, ponieważ nie chciała wyjść za tego, którego on jej dawał. Wszyscy ją potem opuścili, wszystko nią teraz gardzi. Cóż miałyśmy czynić? Postanowiłyśmy odszukać tego, któremu —

v. Tellheim. Wiem dość. — Chodź, muszę jej paść do nóg.

Franciszka. Co pan zamyśla? Odejdź pan i dziękuj raczej swej szczęsnej gwiazdzie. —

v. Tellheim. Nędzna! Za kogo mię masz? — Nie, kochana Franciszko, nie radziłaś mi tak szczerze. Wybacz, że się uniósłem!

Franciszka. Proszę mnie dłużej nie zatrzymywać. Muszę zajrzeć, co ona robi. Może się tam co złego stało. — Idź pan! Wróć pan lepiej, jeśli pan wogóle wrócić zechce. Idzie za panną.

SCENA VIII.

von Tellheim sam.

Ależ Franciszko! — O, ja was tu oczekuję! — Nie, tamto jest konieczniejsze! — Poważnem dła-

łaniem rozbroję jej gniew. — Teraz mi ciebie potrzeba, poczciwy Wernerze! — Nie, Minno, ja nie jestem zdrajcą! Spiesznie odchodził.

Akt piąty.

SCENA I.

Scena: Sala. von Tellheim wchodzi z jednej, Werner z drugiej strony.

v. Tellheim. Ha, Werner! Wszędzie ciebie szukam. Gdzie się obracasz?

Werner. A ja pana szukałem, panie majorze; to tak zawsze bywa, gdy się kogo szuka. Mam bardzo dobrą nowinę.

v. Tellheim. E, nie potrzeba mi teraz nowinek twoich, potrzebuję twoich pieniędzy. Szybko, Werner, daj mi, ile masz; nadto staraj się dostać tyle, ile będziesz mógł.

Werner. Panie majorze? No, na moje zbawienie, nie mówiłem ja: pożyczę odemnie, gdy swoje własne pieniądze będzie mógł pożyczyć.

v. Tellheim. Wszak nie szukasz wykrętów?

Werner. Abym mu nie nie mógł zarzucić, przyjmuje prawą ręką a oddaje lewą.

v. Tellheim. Nie zwlekaj, Werner! — Mam dobrą wolę zwrócić ci je; ale kiedy i jak? — to jeden Bóg wie!

Werner. Nie wie pan tedy jeszcze, że nadworna kasa państwowa otrzymała polecenie, by wypłaciła panu pańskie pieniądze? Właśnie się dowiedziałem od —

v. Tellheim. Co pleciesz? O czym sobie dajesz paplać? Czyż nie możesz tego pojąć, że gdyby to było prawdą, ja najpierw musiałbym o tem wiedzieć? — Koniec końcem, Werner, pieniędzy! pieniędzy!

Werner. No dobrze, z przyjemnością. Mam trochę przy sobie. Oto sto luidorów a tu sto dukatów. — Daje mu jedno i drugie.

v. Tellheim. Te sto luidorów, Werner, daj Justowi. Niechaj natychmiast wykupi pierścień, który dziś rano zastawił. — Ale skąd weźmiesz więcej, Werner? Mnie daleko więcej potrzeba.

Werner. To już moja rzecz. Nabywca mojej realności mieszka w mieście. Wprawdzie obowiązany jest do zapłaty dopiero za czternaście dni, ma on jednak gotówkę przygotowaną, a gdy pół procenciku potrączę —

v. Tellheim. No tak, kochany Werner! — Widzisz, że jedynie do ciebie się uciekam? — Muszę ci też wszystko wyznać. Panna — widziałeś ją — jest nieszczęśliwa —

Werner. O smutku!

v. Tellheim. Ale jutro będzie moją żoną —

Werner. O radości!

v. Tellheim. A pojutrze z nią odjeżdżam.

Wolno mi odjechać, chcę odjechać. Lepiej tu wszystko porzucić! Kto wie, gdzie mię szczęście czeka. Jeśli chcesz, Werner, jedź ze mną. Będziemy znowu służyli.

Werner. Istotnie? — Ale przecie tam, gdzie wojują, panie majorze?

v. Tellheim. A gdzież? — Idź, kochany Werner, jeszcze o tem pomówimy.

Werner. O serdeczny majorze! — Pojutrze? Czemu lepiej nie jutro? Ja wszystko załatwię. — W Persyi, panie majorze, wre wyborna wojna; co pan na to?

v. Tellheim. Zastanowimy się nad tem; idź już Werner! —

Werner. Juchhe! Niech żyje książę Herakliusz!
Odchodził.

SCENA II.

von Tellheim sam.

Co za zmiana? Cała ma dusza na nowo pobudzona. Własne nieszczęście mię przygniotło, czyniło mię gniewnym, krótkowidzącym, gderliwym, opieszałym; jej nieszczęście mię podnosi, znów swobodnie patrzę na świat, czuję w sobie całą siłę niezłomnej woli, by wszystko dla niej przedsięwziąć. — Czemu zwlekam? Chce iść do pokoju panny, skąd wychodził Franciszka.

SCENA III.

Franciszka, von Tellheim.

Franciszka. Rzeczywiście, to pan? — Zda-
wało mi się, że słyszę głos pański. — Czego pan
sobie życzy, panie majorze?

v. Tellheim. Czego sobie życzę? — Jak się ma
panienka? Chodź! —

Franciszka. Chce zaraz wyjechać.

v. Tellheim. Sama? Bezemnie? Dokąd?

Franciszka. Czy pan zapomniał, panie majorze?

v. Tellheim. Czy nie rozumiesz tego, Fran-
ciszko? Drażniłem ją, więc się obraziła; prze-
proszę ją, więc mi przebaczy.

Franciszka. Jakto? — Gdy pan już odebrał
pierścień, panie majorze?

v. Tellheim. Ha! — uczyniłem to nieprzy-
tomny. — Teraz dopiero sobie przypomniałem
pierścień. — Gdzież ja go schowałem? — Szuka go.
Oto jest.

Franciszka. Czy to ten? Podczas gdy on go
chowa, na stronie. Gdyby mu się też dokładniej
przypatrzył!

v. Tellheim. Zmusiła mię do przyjęcia go
z taką goryczą. — Zapomniałem już tę gorycz.
Wezbrane serce słów ważyć nie może. — Nie
będzie się jednak ani chwili wzbraniała przyjąć
go na nowo. — Alboż ja nie mam jeszcze jej
pierścionka?

Franciszka. Czekaj na zwrot tegoż. Gdzież go pan ma, panie majorze? Pokaż mi go pan.

v. Tellheim trochę zakłopotany. Ja — zapomniałem go włożyć. — Just — Just mi go natychmiast przyniesie.

Franciszka. Obydwa prawie całkiem do siebie podobne; pokaż mi pan ten; chętnie oglądam klejnoty.

v. Tellheim. Kiedy indziej, Franciszko. Chodź teraz —

Franciszka na stronie. Ani rusz nie daje się wywieść z błędu.

v. Tellheim. Co mówisz? z błędu?

Franciszka. Mówię, że pan błądzi, jeśli pan myśli, że panna jeszcze jest dobrą partya. Jej własny majątek nie jest wcale znaczny; jej opiekunowie trochę powodując się własnym zyskiem mogą go na kompletne zero sprowadzić. Spodziewała się wszystkiego od wuja; ale ten okrutny wuj —

v. Tellheim. Nie wspominaj o nim! — Czyż ja nie jestem mężem, który jej kiedyś wszystko zdoła wynagrodzić?

Franciszka. Słyszysz pan? Dzwoni; muszę wejść.

v. Tellheim. Pójdę z tobą.

Franciszka. Na Boga, nie idź pan! Wyraźnie mi zakazała rozmawiać z panem. Przyjdź pan przynajmniej za mną dopiero. Wchodzi.

SCENA IV.

von Tellheim woła za nią.

Oznajmij mi! — Wstaw się za mną, Franciszko! — Przyjdę wnet. Cóż ja jej powiem? Do serdecznej rozmowy nie potrzeba się przygotowywać. — Jedno tylko wymaga wystudyowanego zwrotu: jej ostrożność, skrupuły, gdy jako nie-szczęśliwa rzuca mi się niejako w objęcia; jej staranie, by udawać szczęście, jakie przezemnie utraciła. Jak usprawiedliwi przed sobą samą nie-ufność w mój honor, w swą własną wartość. — Ja już ją usprawiedliwiłem! — Ha! Oto nadchodzi.

SCENA V.

Panna, Franciszka, von Tellhelm.

Panna wychodząc, jakgdyby nie spostrzegła majora. Franciszko, czy powóz zajechał? — Mój wachlarz! —

v. Tellheim przystępuje do niej. Dokąd, moja pani?

Panna z udaną obojętnością. Skończone, panie majorze. — Domyślam się, dlaczego się pan jeszcze raz tu trudziłeś; aby i mnie zwrócić mój pierścionek. — Dobrze, panie majorze; bądź pan łaskaw wręczyć go Franciszce. — Franciszko, odbierz od pana majora pierścionek! — Nie mam czasu. Chce odejść.

v. Tellheim zagradzając jej drogę. Moja pani! — Ach, o czem ja się dowiedziałem! Nie byłem go-dzien takiej miłości.

Panna. Tak, Franciszko? Tyś panu majorowi —
Franciszka. Wszystko odkryła.

v. Tellheim. Nie gniewaj się pani na mnie. Nie jestem zdrajcą. Dużo pani przezemnie straciłaś w oczach świata, ale nie w moich. Dla mnie stałaś się pani dla tej straty o wiele droższą. Wrażenie było jeszcze zbyt świeże; obawiałaś się pani, by to na mnie nie oddziaływało szkodliwie. Chciałaś to pani na razie ukryć przedemną. Nie żalę się na tę nienfność. Wynikła ona z pragnienia posiadania mnie. Pragnienie to jest moją dumą! Zastałaś mię pani nieszczęśliwym, nie chciałaś więc podwoić bólesci opowiadaniem swojej niedoli. Nie mogłaś się pani domyśleć, o ile silniej odczuję pani nieszczęście od swojego.

Panna. Wszystko to bardzo ładnie brzmi, panie majorze! Stało się jednak. Uwolniłam pana od zobowiązania; pan przyjmując pierścień —

v. Tellheim. Na nic się nie zgodziłem! — Owszem, uważam się teraz bardziej zobowiązanym, niż kiedykolwiek. — Minno, pani jesteś moją, moją na wieki. Wyjmuje pierścieniek. Oto, przyjm pani po raz wtóry zakład mojej wierności. —

Panna. Ja, przyjąłabym ten pierścień? Ten pierścień?

v. Tellheim. Tak, najdroższa Minno, tak!

Panna. Cóż pan o mnie sądzisz? Ten pierścień?

v. Tellheim. Ten pierścień przyjąłab pani z rąk moich, gdy nasze stosunki były równe i szczęśliwe.

Nie są już teraz szczęśliwe wprawdzie, ale równo. Równość jest zawsze najsilniejszym węzłem miłości. — Pozwól, najdroższa Minno! — Chwyta jej rękę, aby jej pierścień włożyć.

Panna. Jakto, przemocą, panie majorze? — Nie, nie istnieje na świecie potęga, któraby mię zmusiła do przyjęcia tego pierścienia! — — Czyż pan myślisz, że mi brak pierścionka? — O, wszak pan widzisz, wskazując swój pierścień że mam jeszcze jeden, który pańskiemu w niczem nie ustępuje? —

Franciszka. Że też on jeszcze nie poznaje! —

v. Tellheim puszczając rękę panny. Co to? Pannę Barnhelm widzę, ale jej nie słyszę. — Pani tylko udajesz. — Proszę wybaczyć, że użyłem tego wyrazu za panią.

Panna naturalnym głosem. Czy to słowo pana obraziło, panie majorze?

v. Tellheim. Bolało mię.

Panna wzruszona. Nie powinno było, Tellheim. — Proszę mi wybaczyć, Tellheim.

v. Tellheim. Ha, ten poufny ton mi mówi, że się pani znów stajesz sobą, że mię pani jeszcze kochasz, Minno. —

Franciszka nagle. Niebawem byłby się ten żart za daleko posunął.

Panna rozkazująco. Nie wtrącać mi się, Franciszko, jeśli mi wolno o to prosić! —

Franciszka na stronie zaambarasowana. Jeszcze nie dość?

Panna. Tak, mój panie, byłoby to próżnością kobiecą, gdybym chciała udawać zimną i szyderczą. Precz z tem! Zasługujesz pan na to, bym się okazała równie prawdziwą, jak pan. Kocham pana jeszcze, Tellheim, kocham pana jeszcze; a mimoto—

v. Tellheim. Ani słowa dalej, najdroższa Minno! ani słowa! Znów ujmuje jej rękę, aby jej włożyć pierścionek.

Panna cofa rękę. Mimoto, — właśnie tembardziej nigdy na to nie zezwolę; przenigdy! Cóż pan myślisz, panie majorze? — Sądziłam, że panu dość własnego nieszczęścia. — Pan musisz tu zostać, pan musisz sobie jak najzupełniejsze zadośćuczynienie — wymusić. Na prędcie nie mam innego wyrazu. Wymusić, — chociażbyś pan miał paść ofiarą najskrajniejszej nędzy w oczach oszczerców!

v. Tellheim. Tak myślałem i mówiłem, gdy nie wiedziałem, co myślę i mówię. Zgryzota i zawzięta złość omgłiły całkiem mą duszę; nawet miłość w całym blasku szczęścia nie mogła tam wniesć światła. Lecz ona posyła córę swą, litość, która jako powiernica cierpienia rozprasza mgły i czyni duszę dostępniejszą dla tkliwych wrażeń. Budzi się tryb zachowawczy, ponieważ mam zachować coś kosztowniejszego, niż ja jestem, a zachować to mam przez siebie. Niechaj pani słowo litość nie obraża. Możemy je bez poniżenia słyszeć z ust niewinnej przyczyny naszego nieszczęścia.

Ja jestem tą przyczyną; przezemnie, Minno, tracisz pani przyjaciół i krewnych, mienie i ojczyznę. Przezemnie i we mnie musisz pani wszystko to odzyskać, inaczej miałbym na sumieniu zgubę najgodniejszej z płci pani. Nie daj mi pani myśleć o przyszłości, w której musiałbym samego siebie nienawidzić. Nie, nie mnie tu dłużej nie zatrzyma. Odtąd żywić będę tylko pogardę dla niesprawiedliwości, jaka mię tu spotyka. Czyż ten kraj jest światem? Czy tylko tu słońce wschodzi? Dokąd mi iść wzbroniono? Jakiej służby mi odmówią? Gdybym jej nawet w najdalszym zakątku ziemi szukać musiał, proszę tylko iść ze mną bez obawy, najdroższa Minno; niczego nam nie zabraknie. — Mam przyjaciela, który mię rad wspiera. —

SCENA VI.

Kuryer, v. Tellheim, Panna, Franciszka.

Franciszka spostrzegając kuryera. Pst! panie majorze!

v. Tellheim do kuryera. Kogo pan szukasz?

Kuryer. Pana majora von Tellheim. — Ah, wszak to pan sam. Mój panie majorze, to odręczne pismo królewskie które wyjmuje z pugilaresu mam panu oddać.

v. Tellheim. Mnie?

Kuryer. Stosownie do napisu. —

Panna. Słyszysz, Franciszko? — Przecież kawaler prawdę mówił!

Kuryer gdy Tellheim list odbiera. Przepraszam, panie majorze; miałeś pan to jeszcze wczoraj otrzymać, nie mogłem pana jednak odszukać. Dziś dopiero podczas parady dowiedziałem się o pańskim mieszkaniu od porucznika Riccaut'a.

Franciszka. Panienko, słyszy pani? To jest kawalera minister: „Jak naziwa minister na szeroka plas?“ —

v. Tellheim. Dziękuję panu za trud.

Kuryer. To powinność moja, panie majorze. Odechodzi.

SCENA VII.

v. Tellheim, Panna, Franciszka.

v. Tellheim. Ah, pani, co ja mam w rękę? Co zawiera to pismo?

Panna. Nie mam prawa być tak dalece ciekawą.

v. Tellheim. Jaktó? Pani oddzielasz mój los od swojego? — Ale czemu się waham to rozpieczętować? — To mnie nie może uczynić nieszczęśliwszym, niż jestem; nie, najdroższa Minno, to nie może nas bardziej unieszczęśliwić; — owszem uszczęśliwić może! — Pozwól pani! Rozpieczętuję i czyta list, tymczasem gospodarz wchodzi cichutko na scenę.

SCENA VIII.

Gospodarz, Poprzedni.

Gospodarz do Franciszki. Pst! Sliczne dziecko! Na jedno słówko.

Franciska która się doń zbliża. Pan gospodarz? Naprawdę sami jeszcze nie wiemy, co ten list zawiera.

Gospodarz. Co mię list obchodzi? Przychodzę wedle pierścionka.. Jaśnie pani musi mi go natychmiast zwrócić. Just przyszedł, by go wykupić.

Panna która się tymczasem również zbliżyła do gospodarza. Proszę powiedzieć Justowi, że już wykupiony, a to przezemnie.

Gospodarz. Ależ —

Panna. Na moją odpowiedzialność; idźże pan już! Gospodarz odchodzi.

SCENA IX.

v. Tellheim, Panna, Franciszka.

Franciszka. A teraz, panienko, proszę już biednemu majorowi dać spokój.

Panna. Jaka mi tu orędowniczka! Jakoby się ten węzeł sam przez się nie musiał rozwikłać.

v. *Tellheim* po przeczytaniu mocno wzruszony. Ha, zawsze ten sam! O, moja pani, co za sprawiedliwość! — Co za łaska! — To przechodzi moje oczekiwania! — To więcej, niż zasługuję! — Moje szczęście, mój honor, wszystko ocalone! Wszak nie śnię? Patrząc znowu na list, jak gdyby się chciał jeszcze raz przekonać. Nie, to nie mamidło mojej fantazyi! Proszę czytać, pani, czytaj pani sama!

Panna. Nie jestem tak niedyskretną, panie majorze.

v. Tellheim. Niedyskretną? Ten list do mnie pisany, do pańnego Tellheima, Minno. Zawiera on to, — czego pani wuj nie może zabrać. Musisz go pani czytać; czytajże pani!

Panna. Jeśli panu tem sprawię przyjemność, panie majorze. — Blerze list i czyta.

„Mój kochany majorze von Tellheim!

„Zawiadamiam Was, że sprawa, która groziła Waszemu honorowi, na korzyść waszą wyjaśniona została. Mój brat znał bliższe szczegóły, a jego świadectwo uznało was najzupełniej niewinnym. Nadworna kasa państwowa otrzymała polecenie wydania Wam wiadomego weksłu, jakoteż wypłaty zaliczonej przez Was gotówki; nakazałem też zniesienie wszelkich zarzutów, jakie kasy wojenne przeciw rachunkom Waszym kiedykolwiek podniosły. Donieście mi, czy Wam zdrowie pozwala na ponowne objęcie służby. Niechętnie obywatłbym się bez męża o Waszej dzielności i sposobie myślenia. Pozostaję ze szczerym afektem Waszym królem etc.“

v. Tellheim. No, cóż pani na to?

Panna składa napowrót list i zwraca go. Ja? Nic.

v. Tellheim. Nic?

Panna. Ale tak: że pański król, który jest wielkim mężem, jest zarazem dobrym mężem. — Ale co to wszystko mnie obchodzi? On nie jest moim królem.

v. *Tellheim*. A zresztą nie pani nie mówisz? Nie ze względu na nas samych?

Panna. Pan znów wstąpisz w jego służbę; pan major zostanie podpułkownikiem, może pułkownikiem. Serdecznie panu gratuluje.

v. *Tellheim*. Tak mało mię pani znasz? — Nie, gdy mi szczęście tyle zwraca, ile wystarczy, by zadowolić życzenia rozsądnego człowieka, jedynie od mojej Minny zawisło, czy jeszcze do kogo, prócz do niej, mam należeć. Życie swe tylko jej usługom chcę poświęcić! Służba u możnych jest niebezpieczna i nie opłaca się za trud, przymus i poniżenie. Minna nie jest tak próżną, by w mężu swoim jedynie tytuł i stanowisko kochała. Kochać mię będzie dla mnie samego, ja zaś dla niej o świecie całym zapomnę. Byłem żołnierzem z stronnictwa, sam nie wiem, dla jakich zasad politycznych, z kaprysu, że słusznem jest, by każdy uczciwy mężczyzna spróbował czas jakiś tego stanu celem przyzwyczajenia się do niebezpieczeństw, dla wyrobienia w sobie obojętności i stanowczości. Tylko ostateczna nędza mogła mię była zniewolić, bym ujrzał w tej próbie powołanie, bym zamienił przygodne zatrudnienie na rzemiosło. Ale teraz, gdy mnie nic nie zmusza, teraz całą moją ambicyą jest stać się spokojnym i zadowolonym z siebie człowiekiem. Takim niewątpliwie będę z panią, najdroższa Minno; takim przy pani na zawsze zostanę. — Jutro połączymy

się najświętszym węzłem; a potem oglądniemy się i w całym, szerokim, ludnym świecie wyszukamy najcichszy, najweselszy, najpiękniejszy kącik, któremu niczego nie brak, by się stał rajem, jeno szczęśliwej pary. Tam zamieszkamy; tam każdy dzień — Co pani? Ona niespokojnie się porusza, starając się ukryć swe wzruszenie.

Panna uspokoiwszy się. Pan jesteś okrutnym, Tellheim, przedstawiasz mi pan tak cudownie szczęście, którego rzec się muszę. Moja strata —

v. Tellheim. Pani strata? Co pani nazywa stratą? Wszystko, co Minna stracić mogła, nie jest Minną. Pozostałaś pani najśłodsza, najmiłsza, najpowabniejsza istota pod słońcem; uosobioną dobrocią i wspaniałomyślnością, niewinnością i rozkoszą! — Od czasu do czasu malutka swawolnica; tu i ówdzie trochę kapryśna — Tem lepiej! Tem lepiej! — Inaczej byłaby Minna aniołem, którego musiałbym ze strachem wielbić, którego nie mógłbym kochać. Ujmuje jej rękę, by ją ucałować.

Panna cofając rękę. Nie tak, mój panie. — Od razu taka zmiana? — Czy ten pochlebiający, gwałtowny kochanek, to zimny Tellheim? — Czy tylko powracające szczęście mogło go wprowadzić w ten entuzjazm? — On pozwoli, bym wobec tego przemijającego gorąca za nas oboje zachował rozwagę. — Gdy jeszcze sam umiał rozważać, słyszałam go mówiącego o tem, że to nikczemna miłość, która się nie waha narazić swego przed-

miotu na wzgardę. Słusznie, ale ja również dążę do czystej i szlachetnej miłości. Teraz, gdy go honor wzywa, gdy go chce wielki monarcha pozyskać, miałabym dopuścić do tego, by się oddał mrzonkom miłosnym? aby się sławny wojownik zmienił w kochliwego pasterza? Nie, panie majorze, idź pan za wskazówką lepszego losu —

v. Tellheim. Więc dobrze! Jeśli się pani wielki świat piękniejszym wydaje, Minno, — dobrze, zostaniemy w wielkim świecie. Znasz go pani zaledwie z błyskotliwej strony. Ale, z pewnością, Minno, pani — Niech i tak będzie! Do tego czasu, zgoda. Nie zabraknie podziwiających doskonałość pani i zazdroszczących mi mego szczęścia.

Panna. Nie, Tellheim, tak tego nie myślałam! Odsyłam pana w wielki świat, na drogę zaszczytów, nie pójdę tam jednak z panem! Tam potrzeba Tellheimowi nieposzlakowanej żony! Saska panienska, która uciekła i sama mu się narzuciła —

v. Tellheim porywczo, spoglądając wokół siebie. Kto śmie tak mówić? Ah, Minno, strach mi przed samym sobą, gdy sobie przedstawiam, że to kto inny powiedział, nie pani. — Moja wściekłość ku niemu nie miałaby granic.

Panna. Otóż to! Tego właśnie się obawiam. Nie zniósłbyś pan najmniejszego szyderstwa ze mnie, a jednak codziennie słyszałbyś pan najbardziej gorzkie wyrzuty. Koniec końcem, słuchaj pan, Tellheim, co mocno postanowiłam, od czego mnie nic w świecie odwieść nie zdoła —

v. Tellheim. Nim pani skończysz — zaklinam panią, Minno! — zastanów się chwilę, że to wyrok śmierci lub życia dla mnie! —

Panna. Bez dalszego zastanowienia! — Jak pewnem jest, że oddałam panu pierścień, którym mi pan w swoim czasie ślubowałeś wierność, jak pewnem jest, żeś pan ten sam pierścień odebrał: tak pewnem jest, że nieszczęśliwa Barnhelmówna nigdy nie będzie żoną szczęśliwszego Tellheima.

v. Tellheim. To mówiąc, wydaje pani wyrok?

Panna. Tylko równość jest silnym węzłem miłości. — Marzeniem szczęśliwej Barnhelmówny było żyć tylko dla szczęśliwego Tellheima. Także nieszczęśliwa Minna byłaby się wreszcie dała nakłonić do zwiększenia lub ulżenia nieszczęścia swego przyjaciela zapomocą siebie. Wszak on to zauważył, nim oddano list ten, który zniósł wszelką równość między nami, jak pozornie tylko się wzbraniałam.

v. Tellheim. Czy tak, pani? — Dziękuję, Minno, żeś pani jeszcze stanowczo nie zawyrokowała. — Chcesz pani tylko nieszczęśliwego Tellheima? Możesz go mieć. Zimno. Czuję właśnie, że nie wypada mi przyjąć tej spóźnionej sprawiedliwości; że lepiej będzie, jeśli nie będę żądał rehabilitacyi honoru, który tak niecnem podejrzeniem zbezczescili. Tak, nie chcę wiedzieć o tem, że ten list otrzymałem. Oto wszystko, co w odpowiedzi uczynię! Chceę podrzeć list.

Panna udaremnia to. Czego pan chcesz, Tellheim?

v. Tellheim. Panią pbsiąść!

Panna. Wstrzymaj się pan.

v. Tellheim. Pani, nieodwołalnie go podreę, jeśli się pani inaczej nie rozmyślisz. Zobaczymy potem, co mi pani jeszcze zarzucisz!

Panna. Jakto? Takim tonem? Więc powinienam, muszę we własnych swych oczach stać się godną pogardy. Przenigdy! Nikczemne to stworzenie, które się nie wstydzi zawdzięczać całego swego szczęścia ślepemu uczuciu mężczyzny!

v. Tellheim. Fałsz, to fałsz!

Panna. Śmiesz pan własne swe słowa przeze mnie powtórzone ganić?

v. Tellheim. Sofistko! Więc słaba płeć tak się znieważa sama, czyniąc to, co silnej nie przystoi? Więc mężczyźnie wolno czynić wszystko to, co dla kobiety wypada? Które z tych dwojga stworzyła przyroda ku pomocy drugiego?

Panna. Uspokój się pan, Tellheim!—Nie będę zupełnie pozbawioną pomocy, chociaż pańskiej rzec się muszę. Jeszcze się dla mnie tyle uczyni, ile potrzeba będzie. Kazałam się oznajmić naszemu ambasadorowi. Dziś jeszcze będę z nim mówiła. Spodziewam się, że się za mną ujmie. Czas ucieka. Pozwól pan, panie majorze!

v. Tellheim. Będę pani towarzyszył, łaskawa pani. —

Panna. Nie, panie majorze, zostaw mię pan—

v. Tellheim... Raczej cień własny panią opuści! Chodźmy, pani, dokąd pani chcesz, do kogo pani zechcesz. Wszędzie, znajomym i nieznajomym opowiem w obecności pani, dziennie sto razy opowiem, jakie węzły nas łączą, dla jakiego okrutnego kaprysu chcesz pani te węzły zerwać. —

SCENA IX.

Just, Pcpřednie.

Just natarczywie. Panie majorze! Panie majorze!

v. Tellheim. Co tam?

Just. Prędzej, prędzej!

v. Tellheim. No co? Chodź tu! Mów, co się stało?

Just. Słuchaj pan — mówi mu coś do ucha.

Panna tymczasem na stronie do Franciszki. Czy domyślasz się, o co idzie, Franciszko?

Franciszka. O, nielitościwa! Stałam tu, jak na węglach!

v. Tellheim do Justa Co mówisz? — To niemożliwe. — Ona? Spoglądając ostro na pannę. Powiedz to głośno, powiedz jej to w oczy! Proszę posłuchać, pani!

Just. Gospodarz twierdzi, że panna von Barnhelm wzięła pierścień, który ja u niego zastawiłem; miała w nim poznać swoją własność i nie chciała mu go zwrócić. —

v. Tellheim. Czy to prawda, pani? Nie, to nieprawdopodobne!

Panna śmiejąc się. Czemużby nie, Tellheim? Czemuż to nieprawdopodobne?

v. Tellheim popędliwie. Niechże to więc będzie prawdą! — Co za okropną prawdę poznałem! Teraz panią poznaję, fałszywa, niewierna!

Panna przestraszona. Kto? Kto jest tą niewierną?

v. Tellheim. Pani, której więcej znać nie chcę!

Panna. Tellheim!

v. Tellheim. Proszę zapomnieć moje imię! — Pani tu przyjechałaś by ze mną zerwać. To jasne! Że też przypadek tak chętnie niewiernym pomaga! Onto pani oddał pierścionek. Chytróść pani potrafiła mi mój podsunąć.

Panna. Tellheim, co się panu roi! Uspokój się pan przecie i posłuchaj.

Franciszka do siebie. Ma teraz za swoje!

SCENA XI.

Werner z sakiewką złota, *v. Tellheim*, *Panna*,
Franciszka, *Iust*.

Werner. Oto jestem, panie majorze! —

v. Tellheim nie patrząc nań. Kto ciebie potrzebuje?

Werner. Przyniosłem pieniądze, tysiąc pistolów.

v. Tellheim. Nie potrzeba.

Werner. Jutro będę mógł jeszcze raz tyle przynieść.

v. Tellheim. Zachowaj swoje pieniądze!

Werner. Wszak to pańskie pieniądze, panie majorze. Zdaje się, że pan nie wiesz, z kim mówisz?

v. Tellheim. Precz z tem! powiadam.

Werner. Co panu jest? Jestem Werner.

v. Tellheim. Wszelka dobroć jest udawaniem, wszelka usłużność oszustwem.

Werner. Czy to do mnie się odnosi?

v. Tellheim. Jak chcesz!

Werner. Wszak wykonałem tylkopański rozkaz.

v. Tellheim. To wykonaj i obecny i wynoś się!

Werner. Panie majorze! z gniewem. Jestem człowiekiem —

v. Tellheim. Także masz się czem chwalić!

Werner. Który ma też żółć —

v. Tellheim. Dobrze! Żółć to jeszcze najlepsze, co człowiek mieć może.

Werner. Panie majorze, proszę —

v. Tellheim. Ileż razy ci mam powiedzieć, że nie potrzebuję twoich pieniędzy!

Werner oburzony. Więc niech je bierze, kto chce! Rzuca sakiewkę pod nogi i odchodzi na bok.

Panna do Franciszki. Ah, kochana Franciszko, trzeba mi było ciebie słuchać. Posunęłam żart za daleko. — Ale przecież musi mię wysłuchać. — Przystępuje do niego.

Franciszka która nie odpowiadając pannie, zbliża się do Wernera. Panie wachmistrz! —

Werner mrakliwie. Niech ona sobie idzie! —

Franciszka. Hu! Co to za mężczyźni!

Panna. Tellheim! — Tellheim! — Tellheim ze złości palce gryzie, twarz odwraca i nie słucha. Nie, to

nadto okropne! — słuchajże mię pan! — Pan się mylisz! — To tylko nieporozumienie, — Tellheim! — Nie chcesz pan słyszeć swojej Minny? Co za podejrzenie? Ja chciałabym z panem zerwać? I dlatego tu przyjechałam? — Tellheim! —

SCENA XII.

Dwaj służący z przeciwnych stron przebiegają przez salę. Poprzedni.

Jeden służący. Jaśnie pani, jego ekscelencya, pan hrabia!

Drugi służący. Idzie, jaśnie pani! —

Franciszka która pobiegła do okna. To on! To on!

Panna. Czy to on? — O, prędko teraz, Tellheim.

v. Tellheim pomału przychodzi do siebie. Kto? Kto idzie? Pani wuj? Ten okrutny wuj? — Niech tylko przyjdzie, niech tylko przyjdzie! — Nie obawiaj się pani! Ani jednym spojrzeniem nie śmie pani obrazić! Będzie miał ze mną do czynienia. — Wprawdzie nie zasłużyłaś pani na to —

Panna. Prędko, uściśnij mię pan, Tellheim, i zapomnij o wszystkim.

v. Tellheim. Ha, gdybym wiedział, że pani tego żałujesz!

Panna. Nie, nie mogę tego żałować, że mogłam wglądać w całe serce pańskie! — Ah, co z pana za człowiek! — Uściśnijże pan swoją Minnę, swoją szczęśliwą Minnę! przez pana najszcześniejszą! Rzuca mu się w objęcia. A teraz na jego spotkanie!

v. Tellheim. Na czyje spotkanie?

Panna. Najlepszego z nieznanych panu przyjaciół.

v. Tellheim. Jaki?

Panna. Hrabiego, mojego wuja, mojego ojca, pańskiego ojca. — — Moja ucieczka, jego niechęć, wydziedziczenie; — czyż pan się nie domyślasz, że to wszystko zmyślane? — Łatwowierny rycerzu!

v. Tellheim. Zmyślane? — Ależ pierścień? pierścień?

Panna. Gdzież jest pierścień, który panu oddałam?

v. Tellheim. Przyjmiesz go pani? O, więc jestem szczęśliwy! Oto jest, Minno! — Wyjmuje go.

Panna. Oglądnijże go pan przedtem! O, mają oczy, a nie widzą! — Któryż to pierścień? Czy ten, który ja mam od pana, czy ten, który pan masz odemnie? Czyż to nie ten sam, którego nie chciałam zostawić w rękę gospodarza?

v. Tellheim. Boże! Co widzę? Co słyszę?

Panna. Czy mam go odebrać? Wziąć go? — Daj pan, daj pan! Wyrwa mu go z rąk i sama mu go wkłada na palec. Więc? Wszystko w porządku?

v. Tellheim. Gdzie jestem? Całuje ją w rękę. O złośliwy aniele! — Tak mię dręczy!

Panna. To była próba, mój kochany mężu, że mi pan nigdy nie wypłatasz figla, bym i ja się figlem nie odwzajemniła. Czy myślisz pan, że i ja nie cierpialem?

v. Tellheim. O komedyantki, przecież was poznałem!

Franciszka. Nie, dalibóg; ja się nie zdałam na komedyantkę. Tak drżałam; musiałam sobie ręką usta zamykać.

Panna. I dla mnie moja rola nie była tak łatwą. Ale chodźmy!

v. Tellheim. Nie mogę jeszcze ochłonać. Jak mi dobrze, jak straszno zarazem! Jakgdybym się nagle zerwał ze snu okropnego!

Panna. Spóźnimy się. — Idzie już. —

SCENA XIII.

Hrabia von Bruchsall w towarzystwie rozmaitych służących i gospodarza. **Poprzedni.**

Hrabia wchodząc. Wszak szczęśliwie przybyła?

Panna która poskoczyła naprzeciw niemu. Ah, mój ojcie! —

Hrabia. Oto jestem, kochana Minno! Ściska ją. Ale cóż to jest, dziewczyno? Spostrzega Tellheima. Dopiero od dwudziestu czterech godzin jesteś tutaj, a już znajomości, a już towarzystwo?

Panna. Proszę odgadnąć, kto to jest?

Hrabia. Wszak nie twój Tellheim?

Panna. A któżby inny? Proszę, Tellheim!

Prowadzi go do hrabiego.

Hrabia. Panie, nigdy się jeszcze nie widzieliśmy; zdaje mi się jednak, że na pierwsze wejrzenie już pana poznałem. Pragnę tylko, abys

pan takim został. Uściśnij mię pan. Żywię dla pana najwyższy szacunek. Proszę o pańską przyjaźń. Moja siostrzenica, moja córka pana kocha.

Panna. O tem ty wiesz, mój ojczcie! A czy miłość moja jest ślepą?

Hrabia. Nie, Minno, twoja miłość nie jest ślepą; ale twój ulubieniec jest — niemy.

v. Tellheim rzucając mu się w objęcia. Niech ochłone, mój ojczcie! —

Hrabia. Słusznie, mój synu! Czuję, że chociaż usta twe przemawiać nie mogą, serce wiele mówi. — Ja zresztą oficerów tej barwy wskazując na mundur Tellheima nie bardzo lubię; pan jednak jesteś uczciwym mężem; a uczciwego męża musi się kochać, choćby i jaki mundur nosił.

Panna. O, gdybyś wszystko wiedział! —

Hrabia. Alboż się o wszystkiem nie dowiem? Gdzie moje pokoje, panie gospodarzu?

Gospodarz. Jego ekscellencya raczy tylko łaskawie tu wstąpić.

Hrabia. Chodź, Minno, Chodźmy, panie majorze! Odechodzi z gospodarzem i służącymi.

Panna. Chodźmy, Tellheim!

v. Tellheim. W tej chwili, pani. Słówko tylko z tym panem! Zwraca się do Wernera.

Panna. Jeno bardzo dobre; sądzą, że pan powinien. — Nieprawdaż, Franciszko? Odechodzi za hrabią.

SCENA XIV.

v. Tellheim, Werner, Franciszka.

v. *Tellheim* wskazując sakiewkę, którą Werner rzucił.
Just! — podnieś to i zanieś do domu. Idź! Just odchodzi.

Werner który dotąd stał w kącie pochmurny i zdawał się nie nie widzieć; skoro tylko to usłyszał. No, tak!

v. *Tellheim* poufale doń przystępując. Werner, kiedy mogę mieć drugie tysiąc pistolów?

Werner nagle znów w swym dobrym humorze.
Jutro, panie majorze, jutro.

v. *Tellheim*. Nie mam potrzeby stać się twoim dłużnikiem; chcę jednak zostać twoim bankierem. Was dobrodusznych ludzi potrzebaby wszystkich wziąć pod kuratelę. Jesteście marnotrawcami w swoim rodzaju. Rozgniewałem cię przedtem, Werner?

Werner. Na moje zbawienie, tak! Ja jednak nie był powinien być tak głupim. Teraz widzę. Zasługuję na sto razy, każ mi je pan dać; tylko się nie gniewać, panie majorze! —

v. *Tellheim*. Gniewać się? — Ściskając mu rękę. Czytaj w moich oczach, czego ci wypowiedzieć nie mogę! — Ha! — Chciałbym widzieć takiego, który ma lepszą dziewczynę i ucziwszego przyjaciela, niż ja — nieprawdaż Franciszko? Odchodzi.

SCENA XV.

Werner, Franciszka.

Franciszka do siebie. Zapewne, to nadto dobry człowiek! Taki się nie prędko zdarzy. — Muszę

się wygadać! Nieśmiało i wstydliwie, zbliżając się do Wernera. Panie wachmistrzu!

• *Werner* który sobie oczy przeciera. No?

Franciszka. Panie wachmistrzu!

Werner. Cóż ona chce, kobietko?

Franciszka. Niechże on na mnie popatrzy, panie wachmistrzu!

Werner. Nie mogę jeszcze; nie wiem, czy mi czemś zaszyły.

Franciszka. Niechże on przecie na mnie popatrzy.

Werner. Obawiam się, czy już za wiele na nią nie patrzyłem, kobietko! — No — już się patrzę! I co?

Franciszka. Panie wachmistrzu, czy jemu nie potrzeba pani wachmistrzowej?

Werner. Czy to serio, kobietko?

Franciszka. Zupełnie!

Werner. A czy ruszyłaby ona ze mną do Persyi?

Franciszka. Dokąd on zechce.

Werner. Istotnie? — Holla! Panie majorze, nie pysznić się! Teraz i ja mam przynajmniej równie dobrą dziewczynę i równie zanego przyjaciela, jak pan. — Niechże mi ona da rękę, kobietko! Zgoda! Za lat dziesięć będzie ona panią generałową albo wdową!



4
LBS
MIN



B

43.062

Biblioteka WSP Kielce



0194029